EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 grudnia 1937 r. Rok IV, Nr 23 (102)

Treść numeru:

KREW NIEODKUPIONA
W. Rzymowski

PODEJRZANE INSPEKCJE NA ZIEMIACH POLSKICH

Z DNIA NA DZIEŃ:

Banzaj! Panie Słonimski. — Poeta „narodowy" upokorzony. — „Trzeba z tym skończyć". — Na skrzydłach wyobraźni. — Wolność słowa — Palladium demokracji. — Miesiąc „Dziennika Porannego". — Żałosne wykręty. — „Albo — Albo".— Akcja katolicka na ścieżkach herezii. — Nie zawsze uchodzi na sucho. — Głos obowiązku społecznego.

O MINIMUM LOGIKI
Dr Ryszard Ganszyniec

DOŻYNKI WARSZAWSKIE 1937
W. Rzymowski

RENESANS PRZYWILEJU
Michał Jordan

TEATR
Marcelina Grabowska

TRÓJKĄT ZAMIAST OSI

DOLARY Z POSIEWU KRWI

PRAWDZIWI PODPALACZE

APEL DO MATEK POLEK

Krew nieodkupiona

Dni grudniowe mają w Polsce, od lat piętnastu, czarną skazę na czole: skazę od zakrzepłej krwi Gabriela Narutowicza. Zawisając nad ziemią naszą ołowiem mrocznego nieba, jeszcze mroczniejszym uciskiem dni te wżerają się w polskie mózgi i serca: uciskiem wspomnień, związanych z najstraszniejszą zbrodnią, na jaką ważyć się mógł Polak na progu swej odbudowanej wolności.

Zbrodnia, która, przed laty piętnastu, ugodziła w podstawy Państwa, nie była jednakże dziełem jednej prywatnej ręki; za osobą Niewiadomskiego stał zbiorowy napór całego chciwego władzy obozu, który po trupie Prezydenta Rzeczypospolitej chciał wtargnąć ku wyżynom zwierzchnictwa i na krwią zbroczonym gruncie oprzeć dyktaturę gwałtu.

Cóż to był za obóz? Aby go określić i wskazać, nie trzeba ryć się w archiwach przeszłości. Obóz ten żyje i działa na powierzchni życia polskiego po dzień dzisiejszy: zmienia nazwy, odmienia znaki zewnętrzne, ale istotę wewnętrzną, ale duszę zachowuje nieodmienioną. Wówczas, przed laty piętnastu, wszczynał krwawy rokosz z hasłami Mussoliniego na zapienionych ustach, dziś wprzągł się w rydwan hitleryzmu. Ale jak wczoraj, jak niegdyś tak i dzisiaj znieważa wojsko polskie, dewastuje kulturę, obcym wysługuje się wzorom, jest taranem, który z samobójczym uporem bije w gmach Rzeczypospolitej, rozsadzając jego moralne i prawne wiązadła. Jest to obóz tych, którzy zwyrodniawszy w długiej poniewierce jarzma, zapomnieli języka wolnych ludzi i wolnych narodów: ta część Polski, o której Narutowicz, w przeczuciu i przededniu swej śmierci mówił do Piłsudskiego *). „To nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku". Jest to partia, która dziś jak ongi ma szczytne hasła od święta, a kule rewolwerowe, noże i bomby w praktyce codziennej; partia, która, jak ongi, tak i dziś jest wylęgarnią „podejrzanych i ciemnych figur o typie — jak się wyraził Piłsudski — bolszewicko-narodowym".**)

Ów „typ bolszewicko-narodowy", dostrzeżony i napiętnowany w obozie endeckim przez pierwszego Żołnierza zmartwychwstałej Ojczyzny, jest najgłębszą diagnozą, jaką zgniliźnie endeckiej wysta-

*) Piłsudski: „Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu"
**) Tam-że.

wiono. I nie powinno nas dziwić to, że wystawił ją właśnie Piłsudski. Wszak kule, które położyły trupem Narutowicza, były — wedle wyznań samego mordercy, złożonych przed sądem — przeznaczone dla Piłsudskiego, który zdawał sobie sprawę z tego, że był głównym, jeśli nie „wyłącznym celem kreciej roboty terorystycznej***) Wszak w tym właśnie celu, aby nowego Wybrańca Narodu nie wystawiać na kule terorystów, były Naczelnik Państwa postanowił wstrzymać się od codziennych jego domu odwiedzin. „Ostatniego wieczoru przed śmiercią Gabriela Narutowicza — pisze Piłsudski****) — nie byłem u niego. Zdecydowałem nie stwarzać wrażenia, że istnieje jakieś *condominium* władzy i że Gabriel Narutowicz bez mojej rady nic nie postanawia". Oto zgroza owego klimatu, jaki już przed laty wytworzyła w Polsce partia, nosząca miano „narodowej": klimatu, w którym za stopą Budowniczego naszej niepodległości czaił się skrytobójca i terorem groził już nie tylko jemu, ale każdemu, kto u niego rady szukał, kto mu dochował wierności i przyjaźni.

Tak więc już nie tylko zasługa ojczysta, ale najwyższy laur sławy, zdobiący czoło Bohatera, wydany był na łup zbójeckiej napaści z chwilą, gdy typ „bolszewicko-narodowy" uczuł, że może kusić się o władzę.

Tragiczna śmierć Narutowicza przełamała — na czas pewien — bierność społeczeństwa. Przerażeni następstwami swoich podżegawczych wystąpień, zwłaszcza zaś zaniepokojeni groźną postawą, jaką po zabójstwie Prezydenta zajęły rzesze robotnicze i ludowe, kierownicy rokoszu wyparli się udziału swego w czynie Niewiadomskiego. Niektórzy z nich szczerze, niektórzy obłudnie, potępili jego zbrodnię. Jeszcze inni, policzkując swoją własną wczorajszą postawę, w wątpliwość podawali umysłową i moralną poczytalność przestępcy. Haniebny rokosz reakcji społecznej, wydawszy czyn zbrodniczy, nie miał odwagi otwarcie wziąć go na swój rachunek i zgnilczymi odruchami strachu zacierał krwawe ślady za sobą. Najjadowitsi wśród endectwa podżegacze motłochu, czując się moralnie zbryzgani krwią Narutowicza i drżąc o swoje życie, uciekli z domów własnych i przez szereg dni chowali się w kryjówkach. Ten popłoch i ta ucieczka były samowyznaniem winy i odpowiedzialności za przelaną krew. Były pieczęcią z ognia, którą winowajcy wypalili na swych twarzach i na twarzy swego obozu.

***) Tam-że.
****) Tam-że.

Ale czy na długo? Juliusz Słowacki rzekł niegdyś o naszym narodzie, że myśl nie trwa w nim ani godziny. Czyżby i piętno hańby wypalone na czole złoczyńców nie trwało dłużej?

Nie minęło po śmierci i pogrzebie Narutowicza dni kilka a inspiratorzy czynu wyszli z ukrycia. Rokoszanie, którzy zrazu wypierali się łączności z zabójcą, po jego egzekucji na nowo oprawili go, jak święty obraz w ramy nabożeństwa i postanowili obrazem tym, niby maczugą, torować sobie drogę do władzy. W tym połączeniu charakteru relikwi z charakterem szturmu, religii za zbójectwem, odbiło się bodaj bez reszty moralne oblicze niewiadomszczyzny. Ci, którzy niedawno kwestionowali poczytalność Eligiusza Niewiadomskiego, teraz podjęli, pod łaskawą a dziwną opieką duchowieństwa, akcję gloryfikowania postaci straconego zabójcy, czyniąc zeń jakoby jednego z nowych świętych polskich. Urządzali solenne modły za jego duszę w żarliwej trosce o jej zbawienie. Organizowali uroczyste obchody, prowadzili pielgrzymki na grób skazańca. Imię Niewiadomskiego, w obłokach kadzideł, wzbijało się pod sklepienia świątyń, jako autentyczny sztandar „narodowego bolszewizmu".

Piętnaście lat mija w roku obecnym od owej czarnej godziny zaćmienia ducha i sumienia narodowego. Dlaczego dziś, zatrzymujemy się przy tej tragicznej rocznicy z myślą szczególniej zasępioną i ze złowieszczą rozterką w duszy? Dlaczego krew Narutowicza znów bije głosem nieuśmierzonej skargi przez wieko jego trumny?

Gabriel Narutowicz, gdy włożono mu, nie z jego woli, ciężar najwyższy na barki, nie cofnął się przed nim i nie ugiął się pod nim. Podjął to, co było wyraźnym rozkazem narodu. Złożył przysięgę i wierzył, że i jemu przysięga będzie dotrzymana. Postanowił dać przykład, jak pełnić należy służbę u Tej, która mu swój honor powierzyła. Nie ustąpił z posterunku i poległ, aby dać świadectwo prawdzie, będącej fundamentem Państwa: że równe prawo do współudziału w rządach mają wszyscy obywatele, wszystkie narody, rasy i wyznania, które pod wspólnym z nami zamieszkują dachem Rzeczypospolitej; że żadne stronnictwo, żaden obóz, żaden autorytet nie ma prawa stawać ponad swobodnie wyrażoną wolą narodu.

Każdy, kto prawdzie tej przeczy, świadomie lub nieświadomie, jest czynnikiem współwinnym krwi Pierwszego Prezydenta. Jest, co gorzej, uosobioną klątwą, która sprawia, że krew ta staje się krwią nieodkupioną.

W. RZYMOWSKI.

Podejrzane inspekcje na ziemiach polskich

Władzom związkowym szwajcarskim udał się niedawno połów nielada. W czasie rewizji u niejakiego Tödtli, skarbnika „Frontu Narodowego" w Bernie szwajcarskim, odnaleziono obszerną korespondencję, rzucającą jaskrawe światło na działalność placówek Trzeciej Rzeszy w Szwajcarii i... nietylko w Szwajcarii.

Część tych dokumentów ogłasza obecnie „Neue Züricher Zeitung", pismo wybitnie prawicowe. Widać nie wszystkim prawicowcom podoba się hitlerowska maniera organizowania międzynarodowej prawicy.

Najważniejszą rolę w tych dokumentach odgrywa t. zw. „Weltdienst" erfurcki i jego kierownik, Fleischhauer. O instytucji tej prokuratura związkowa szwajcarska orzekła już przy okazji t. zw. „sprawy Eiseneggera", że jest to *„niemiecka centrala propagandowa"*. Listy, znalezione u Tödtli w zupełności potwierdzają tę ocenę.

„Udaje się tam — pisze o Erfurcie do Tödtli'ego „Gauleiter" Frontu Narodowego von Roll — że jest to międzynarodowy komitet„. Ale w rzeczywistości sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. „Front Narodowy został oddany Niemcom na łaskę i niełaskę".

Zdają sobie z tego sprawę i inni

działacze. *„Jestem przecież pańskim agentem* — pisze Tödtli do Fleischhauera — *a zatem jestem pośrednio agentem Trzeciej Rzeszy"*.

Oczywista, o tym nie wolno mówić profanom. „Nie zdradziłbym nikomu — zaklina się Tödtli wobec Fleischhauera w liście z 10.III. 1936 — że Welt-Dienst ma coś wspólnego z tą instytucją (mowa o Ministerstwie Propagandy)".

Erfurccy mocodawcy również troskliwie dbają o zachowanie incognito. *„Ministerstwo chce uniknąć pozorów, jakoby popierało jakieś ruchy zagranicą"* — pisze sam Fleischhauer. Coprawda pisano to w 1936 r. Dziś ci panowie wstydzą się o wiele mniej podobnych rzeczy.

Ta troska o incognito idzie niezwykle daleko. Kiedy odbywa się zjazd szwajcarskiej filii „Weltdienstu", głównv agent Fleischhauera, de Pottere, Niemiec, przedstawia się uczestnikom zjazdu jako *„węgierski* członek honorowy „Schweizer Volksdienst", Aleksander le Clerque".

Oczywista w korespondencjach przewija się cały czas troska o pieniądze, nadsyłane obficie z Erfurtu.

Prawicowy organ szwajcarski dochodzi do wniosków zabójczych dla tamtejszego „Frontu Narodowego". *„Zostały przedstawione niezbite dowody, że kierowniczy członkowie Frontu Narodowego oddawali usługi wywiadowi niemieckiemu i Gestapo za pośrednictwem Erfurtu"*.

Tyle dziennik szwajcarski, powtarzamy, prawicowy i „antymarksistowski". A teraz przejdźmy do wniosków polskich.

„Weltdienst" erfurcki werbuje i w Polsce współpracowników. Sieć jego kontaktów jest ściśle tajna — nawet biuletyny „Weltdienst" są dostępne tylko wybranym, posiadającym gwarancje hitlerowskiej prawomyślności. Sieć ta musi być jednak wcale obszerna. W dokumentach, cytowanych przez *„Neue Züricher Zeitung"* znajduje się list, pisany przez de Pottera, jednego z głównych współpracowników Fleischhauera, w czasie gdy przebywał w „podróży inspekcyjnej" we... *Lwowie!*

Bądź co bądź można stwierdzić pewne poszlaki. O niektórych pomówimy jeszcze — po bliższym sprawdzeniu. Narazie zwróćmy uwagę na jeden fakt niewątpliwy: w kontakcie z erfurckim instytutem, będącym, zdaniem prokuratury szwajcarskiej, „niemiecką centralą propagandową" a zdaniem prawicowego pisma szwajcarskiego placówką wywiadu niemieckiego, pozostaje w Polsce znany endecki ksiądz Trzeciak. Można bowiem tak chyba powiedzieć o kimś, *kto bierze udział w zjeździe tej instytucji* i kogo szefowie tej instytucji obdarzają mianem *„dzielnego prałata"*. Dodajmy, — rzecz ciekawa — że wrażenia ze swego pobytu w Erfurcie ksiądz Trzeciak drukował nie w bliższym mu *„Warszawskim Dzienniku Narodowym"*, ale w „A.B.C.". Czyżby „Dziennik" (jeszcze przed intronizacją p. Kowalskiego) miał pewne wątpliwości co do charakteru omawianej instytucji? W każdym razie „A.B.C." wątpliwości tych nie podzielało...

Zapytanie pod adresem ośrodków, powołanych do czuwania nad bezpieczeństwem Rzeczypospolitej:

Czy wiadomo im coś o istnieniu w Polsce i składzie osobistym sieci współpracowników erfurckiego „Weltdienst"? Czy wiadomo im coś o treści rozsyłanych przez ten „Weltdienst" biuletynów? Czy znana im była obecność w Polsce, w lecie 1935 r. p. de Pottere'a (być może pseudonim!), *„auf einer polnischen Inspektionsreise"*, czy wiadomo im, co właściwie inspicjował p. de Pottere, czy tylko organizację wybijania szyb w sklepach żydowskich, czy może także coś innego, o wiele bardziej interesującego panów z Bendlerstrasse?

Myślimy, że opinia polska bardzo chciała by otrzymać odpowiedź na te pytania. Otrzymać ją właśnie teraz, kiedy, o ile się nie mylimy, policja demokratycznej republiki francuskiej wcale gruntownie likwiduje robotę francuskiej odnogi tego samego źródła.

Z dnia na dzień

BANZAJ! — PANIE SŁONIMSKI.

W tym samym czasie, gdy artyleria i samoloty japońskie, bombardując i niszcząc miasta chińskie, kładły trupem tysiące niewinnych ludzi, „Wiadomości Literackie", będące tygodniową trybuną publicystyczną Antoniego Słonimskiego, znanego pacyfisty, wystąpiły z osobnym numerem, poświęconym reklamie potęgi i kultury japońskiej.

W n-rze tym m. in. czytaliśmy:

„Japończycy byli zawsze narodem kochającym pokój, państwo ich nie opierało się nigdy na stosunku zwycięzcy do zwyciężonych... Jak daleko sięga historia, zostawali Japończycy w przyjaznych stosunkach z sąsiadami"... „Wyzwolenie milionowych mas ludów azjatyckich — czyż można dokonać wspanialszego dzieła? To właśnie jest posłannictwem Japonii..."

Na posłannictwo Japonii, sprzymierzonej z Mussolinim i Hitlerem, opinia demokratyczna całego świata ma pogląd wyrobiony. Powstaje wszakże pytanie. Skąd tyle ciepłego sentymentu zrodziło się nagle dla tego posłannictwa w redakcji „Wiadomości Literackich"?

Otóż, niejakie światło na źródło tego sentymentu, rzuca pewien znamienny szczegół: w nadmienionym numerze „Wiadomości Literackich" zwracają na siebie uwagę imponujące płatne ogłoszenia koncernów japońskich „Mitsubishi" — „Mitsui" i inn. a więc czynników bezpośrednio zainteresowanych w krwawej inwazji japońskiej na Chiny.

Wszystko to razem wzięte — pisze „Nasza Trybuna" a za nią „Dziennik Ludowy" — czeka poprostu na pióro Antoniego Słonimskiego, czołowego publicysty i satyryka „Wiadomości Literackich". Jest przytym niebywała okazja, by wykazać, jak srodze mylą się ci, którzy twierdzą, że Słonimski popisuje się swą „niezależnością" jedynie wtedy, gdy to sprzyja jego renomie a nie szkodzi jego kieszeni.

POETA „NARODOWY" UPOKORZONY...

Zacznijmy od faktu:

Kilkanaście dni temu, w Krakowie, jedna z akademickich organizacyj endeckich urządziła na Uniwersytecie Jag. „Wieczór poezji biało-czerwonej". Program tej imprezy, mocno rozreklamowanej po mieście, obejmował referat A. Łaszowskiego i autorecytacje J. Pietrkiewicza. Był więc można powiedzieć, dostatecznie „atrakcyjnie" pomyślany dla poruszenia wszelkiego endectwa krakowskiego. W przewidywaniu tłumnej frek-

wencji „narodowej" publiczności wybrali największą na U. J. salę Kopernika. Trzeba było widzieć ich miny, gdy w oznaczonym dniu i porze zebrało się w ławach tego ogromnego audytorium— 36, słowami: trzydzieści sześć osób! W ostatniej chwili okazało się zresztą, iż Łaszowski (snać wiedziony złym przeczuciem „klapy") nie przybył z Warszawy i musiał być naprędce „zastąpiony" przez jednego z miejscowych łaszowskich. „Dopisał" zato wieszcz Pietrkiewicz i — zgodnie z programem — uraczył trzy tuziny zażenowanej nieco publiczności „poezją biało - czerwoną"...

Dotąd wszystko byłoby raczej nieciekawe i nie warte wzmianki. Lecz posłuchajcie, co dalej:

Podczas, gdy p. Pietrkiewicz recytował swe wiersze przed pustymi ławkami sali Kopernika, na plantach, przy wejściu do gmachu uniwersytetu, zebrała się spora gromadka młodzieży, tej z „mieczykami" w klapach... Dowcipkując i ćmiąc papierosy, studenci „narodowi" czekali... Aż doczekali się. Około godziny 9-tej trzy tuziny zażenowanej publiczności wysączyły się z gmachu, za nimi zaś ukazał się, lekko spocony, bohater wieczoru. „Niech żyje poeta narodowy! Niech żyje! Niech żyje", rozległy się gromkie okrzyki, wśród wrzawy entuzjazmu żwawi młodzieńcy kilkakrotnie podrzucili w górę lekko spoconego wieszcza, poczem uszczęśliwiony p. Pietrkiewicz pobiegł na wódkę do Michalika, a zadowoleni z siebie studenci poszli zapewne pisać na płotach i murach antysemickie „aforyzmy"..

Tyle o fakcie.

A teraz małe pytanie: dla kogo właściwie pisują tacy Pietrkiewicze i Łaszowscy? To prawda, że obfita prasa ich obozu robi dostatecznie wiele szumu dokoła ich osób. Ale ten szum — jak widać — przelewa się w próżni, nie chwytają go żadne czulsze anteny odbiorcze. Gdzież jest, do licha, owa reklamowana wrażliwość „młodego pokolenia", ów młodzieżowy „idealizm", pęd do wszystkiego, co tchnie duchem „przełomu narodowego"? Można zrozumieć, że „narodowcy" nienawidzą poezji lewicowej czy skamandryckiej („żydowskiej"), ale — dlaczego nie chcą słuchać „poezji biało-czerwonej"? Taki Pietrkiewicz, jeśli jest w nim chociaż kawałek autentycznego poety, powinien był dobrze zastanowić się nad sobą po powrocie z krakowskiej imprezy... Został bowiem — jako poeta — głęboko upokorzony, by nie powiedzieć wprost: znieważony, przez swoich młodych przyjaciół politycznych, którzy raz jeszcze, jaskrawiej może niż kiedykolwiek, ujawnili swój „zasadniczy", chamsko-cyniczny stosunek do kultury, do poezji, do sztuki, a nawet — otwarcie mówiąc — do własnej ideologii.

„TRZEBA Z TYM SKOŃCZYĆ".

Konserwatywny „Czas" stracił panowanie nad sobą i zaczyna używać mocnych słów. Mianem skandalu piętnuje przyjazne ustosunkowanie się Związku Polaków z Zagranicy do Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Rzeczywiście skandal i upadek moralny! Związek Polaków z Zagranicy, który zdawałoby się powinien być domeną klerykalno - reakcyjną, naraz manifestuje swój szacunek dla instytucji, wyklinanej co dzień od wielu lat przez wszystkich świętoszków i przez całe rozzuchwalone ciemnogłowie!

Ale co sprawiło — zapyta zdumiony czytelnik — że w starym organie zadawnionego przywileju — rozlegają się okrzyki zgrozy i oburzenia. Co spowodowało, że uderzono tam w surmy wojenne, wywieszając hasło: „Trzeba z tym skończyć!"

Stało się to na wiadomość, że sekcja nauczycielska Związku Polaków z Zagranicy zgłasza akces do nauczycielstwa demokratycznego. Ocenia i podnosi zasługi jego na polu oświaty, uznaje wartość pedagogiczną takich pism wyklętych jak „Płomyk" i „Płomyczek", przyjmuje z wdzięcznością dar Z.N.P. w postaci dwóch tysięcy obrazów, stanowiących dla szkół Zw. Polaków niezbędne pomoce naukowe.

Ale rzeczą najważniejszą, spędzającą sen z powiek prześladowcom Z.N.P. jest to, że Zw. Polaków posunął swoje zaufanie do niego tak daleko, że powierzył mu prowadzenie swojej poradni pedagogicznej, kursu społecznego, konferencji nauczycielskich, a także przeszkolenie kandydatów na nauczycieli.

Oto niektóre fakty, które „Czas" określa jako „skandaliczne" i wzywa do ich zwalczania. Jeżeli dziś po tylu latach szczucia reakcji przeciwko związkowi nauczycielstwa i tylu próbach osaczenia go „Czas" dmie w róg myśliwski, wzywając do nowej nagonki, to świadczy o tym, że Z.N.P. wyszedł z opresji dotychczasowej cały i zdrowy. Świadczy o wzroście zaufania ogółu do jego pozytywnej roli oświatowej i wychowawczej, skoro tak umiarkowana instytucja, jak Związek Polaków z Zagranicy powierza Związkowi Nauczycielstwa najbardziej zaszczytne i odpowiedzialne role.

NA SKRZYDŁACH WYOBRAŹNI.

Jeżeli chodzi o postawę wobec związkowego nauczycielstwa, konserwatywny „Czas" nie może się zdobyć na sprawiedliwszy sąd o rzeczy i na obiektywizm. W ocenie roli społecznej Z.N.P. „Czas", jak widzieliśmy, nie może wyrzec się kryteriów, trącących prymitywizmem i parafiańszczyzną.

Ale gdy porzuca grunt rodzimy i oczy zwraca na Zachód, przybiera od razu pozę nieuprzedzonego znawcy i poplecznika kultury. Tam się popisuje szerokim gestem, objawia zmysł dla rzeczy, które w domu potępia, i trącić zaczyna libertynizmem. Olśniony swobodą myślenia, powiada z zachwytem, że „jedną z pięknych stron francuskiego życia kulturalnego jest brak fanatyzmu politycznego, gotowość do uznania i szacunku nawet dla pisarza przeciwnych poglądów, ale zasłużonego i utalentowanego". Podnosi także, iż pisarze lewicowi podczas niedawnych wyborów do Akademii Francuskiej głosowali na skrajnie prawicowego pisarza Charles Maurassa, nie bacząc na to, że jest on przywódcą monarchistyczno-nacjonalistycznej partii. Cieszy się, że pisarz katolicki Bernanos drukował ostatnio jedną ze swych powieści w radykalno - masońskiej „Mariannie" i, że głośny lewicowy radykał Edward Herriot drukuje w prawicowym dzienniku „Figaro" oprócz artykułów, także rozdział swojej powieści z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Za rzecz godną pochwały uważa również i to, że gdy pewien poseł prawicowy w sporze nie o jakąś reformę społeczną lecz o brzmienie wiersza Catallusa założył się z ówczesnym premierem, socjalistą Blumem, — Herriot przez obie strony wezwany został na super - arbitra.

Pisząc o tej wersalskiej galanterii i o idylli intelektualistów francuskich, złączonych bratnim uściskiem rojalistów z socjalistami, masonów z faszystami, „Czas" niewątpliwie pragnie, iżby czar tych stosunków spłynął i na naszą skłóconą ojczyznę. Dając się unieść wyobraźni, widzimy, z rozczuleniem, jak „Czas" otwiera swe gościnne łamy dla autora „Zmór" Emila Zegadłowicza, „Warszawski Dziennik Narodowy" dla poezji Juliana Tuwima, „Nasz Przegląd" dla K. H. Rostworowskiego, „Słowo" Marii Dąbrowskiej.

WOLNOŚĆ SŁOWA — PALLADIUM DEMOKRACJI.

Klub Demokratyczny w Warszawie urządza co piątek zebrania dyskusyjne, poprzedzane referatami na określone tematy.

Dn. 26 listopada r. b. odbyło się kolejne takie zebranie w sali Resursy Obywatelskiej pod przewodnictwem prof. Michałowicza.

Prelekcję wygłosił prezes Warszawskiego Syndykatu Dziennikarzy, red. Sto-

fan Grostern, p. t. „Prawo prasowe w Polsce".

Posiłkując się wszechstronnym materiałem faktycznym, prelegent zobrazował stan naszego ustawodawstwa prasowego i pokazał na wielu przykładach jak prawo, ujmujące teoretycznie wolność prasy stosowane jest w życiu praktycznym.

Po odczycie rozwinęła się ożywiona dyskusja. Mówcy, podjąwszy zasadniczy motyw odczytu, ujmowali zagadnienie wolności prasy nie pod kątem widzenia zawodu dziennikarskiego, lecz z stanowiska żywotnych potrzeb całego społeczeństwa. Poniższa rezolucja, jednomyślnie uchwalona przez zebranych, oddaje istotny sens wszystkich przemówień:

„W ostatnich czasach równowaga psychiczna szerokiego ogółu społeczeństwa ulega silnemu zachwianiu i podlega nieustannym wstrząsom, czego wyrazem jest mnożenie się wieści niepokojących, które sieją niepożądany zamęt. Jedynym wyjściem z takiego nienormalnego stanu rzeczy jest przywrócenie legalnej formy pełnego wypowiadania się opinii publicznej, której funkcją winno być wytwarzanie łączności między społeczeństwem a władzą wykonawczą w Polsce, a to przez zapewnienie czci dobrej sławy jednakowo wszystkich obywateli Rzplitej".

Głos zabierali: profesorowie Mieczysław Michałowicz i Marceli Handelsman, pp. Jankowski, Ferenz, Halina Krahelska, adw. Henryk Konarek, redaktorzy, Wincenty Rzymowski, Henryk Lukrec i Antoni Wieczorkiewicz.

Również jednogłośnie, zebranie przyjęło wniosek, wyrażający wszystkim współpracownikom „Dziennika Porannego" uznanie za ich postawę pełną hartu i godności w obronie swoich słusznych postulatów.

MIESIĄC „DZIENNIKA PORANNEGO".

Dn. 3 grudnia upłynął miesiąc od chwili zawieszenia „Dziennika Porannego". Cały miesiąc więc trwa już nieprzerwanie jedyny w dziejach prasy polskiej strejk okupacyjny wszystkich współpracowników pisma, zarówno redakcji i administracji, jak drukarni i ekspedycji.

Ta dramatyczna walka, rozpętana przez osławionego b. kuratora Z. N. P., p. Pawła Musioła, toczy się nieustępliwie w obronie zagrożonej i częściowo zburzonej już egzystencji kilkudziesięciu osób. Żądania pracowników, domagających się zaspokojenia ich pretensji w granicach ustawowych, uznane zostały przez Ministerstwo Opieki Społecznej za tak słuszne, uzasadnione i bezsporne, że nawet nie widziało ono potrzeby zwoływania konferencji arbitrażowej.

Pracownicy „Dziennika Porannego" w memoriale swoim do P. Ministra Opieki Społecznej wykazali, że jedyną odpowiedzialną za pozbawienie pracy, a przeto i za wszystkie z tego tytułu należne odprawy, osobą jest kurator ZNP., który reprezentuje ZNP w spółdzielni „Oświata". Na jego wniosek wpłynęła skarga do sądu, na jego wniosek zarządzono sekwestr, na jego wniosek wstrzymano wydawnictwo gazety i z tego tytułu sekwestrator wymówił wszystkim pracę. Zarówno z tytułu przepisów ustaw o pracy, jak i z prostego poczucia sprawiedliwości kurator ZNP obowiązany jest uregulować wszystkie należności powstałe wskutek wytworzonej przez jego wniosek sytuacji.

Wielotygodniowe okupowanie „Dziennika Porannego", pełne samozaparcia się i wyrzeczenia, podnosi i uzmysławia obraz dojmującej krzywdy. Krzywdy tym dotkliwszej społecznie, że wiedziona ręką twardą i bezceremonialną wymierzona została nie tylko w podstawę bytu niewygodnych ludzi dla b. kuratora, ale i w dobro ogólne, stanowiące cząstkę kultury polskiej.

ŻAŁOSNE WYKRĘTY

„Jutro Pracy" zareagowało na nasz artykulik w sprawie „Saturna". Pismo czuje się dotknięte naszymi „fantazjami i insynuacjami". Zatrzymamy się jeszcze raz na tej sprawie.

Po pierwsze: p. Gąsowski, autor artykułu, skarży się, że nie słusznie powiązaliśmy go z panami Scheiblerami itd. Przykro nam, nie my go związaliśmy, związał się z nimi sam. Nie pisał przecież artykułu o „przysposobieniu pracy" w ogóle. Pisał o „przysposobieniu pracy" w towarzystwie „Saturn". W radzie nadzorczej i zarządzie tego towarzystwa zasiadają: panowie E. Scheibler, L. Herbst, K. Geyer i H. Biederman. Trudno przypuścić, by dyrekcja podejmowała tego rodzaju eksperymenty bez zgody Rady Nadzorczej i Zarządu. P. Gąsowski pisał o zarządzeniu, wychodzącym od wyżej wymienionych panów.

Po drugie: ocena przysposobienia pracy na „Saturnie" nie jest bynajmniej naszą oryginalną własnością. Jest to ocena załogi kopalni, poparta notabene czynną akcją. Solidaryzował się z tą akcją Centralny Związek Górników. Jego sekretarz generalny b. pos. Stańczyk, charakteryzuje to „przysposobienie" jako „przygotowywanie konfliktów", jako „hitlerowskie pomysły", „skopiowane ściśle z hitlerowskiego wzoru". Kto zna ostrożność, z jaką zwykł się wyrażać właśnie b. pos. Stańczyk, ten zdaje sobie sprawę, co znaczą tak ostre słowa właśnie w jego ustach. Wydrukował jego artykuł „Robotnik" z 4 b.m. to zn. że ze stanowiskiem tym solidaryzuje się P.P.S. Przyznajemy, że stanowisko załogi kopalni, C.Z.G. i P.P.S. w sprawie związanej bezpośrednio z interesami robotniczymi, jest dla nas o wiele bardziej miarodajne niż stanowisko „Jutra Pracy".

Sprecyzujmy teraz zdanie, odczute szczególnie boleśnie przez p. Gąsowskiego: „Uderz w Scheiblera, a Budzyński się odezwie". Sytuacja jest taka: robotnicy „Saturna" poparci przez C.Z.G. i P.P.S., uderzyli w Dyrekcję „Saturna", reprezentującą panów Scheiblera, Herbsta, Geyera i Biedermana. Do obrony tych panów, do bezceremonialnego idealizowania ich planów nie stanęło — o ile wiemy — żadne z pism warszawskich, nawet z tych, które zwykle wrogo odnoszą się do świata pracy. Zgłosiło się jedynie „Jutro Pracy", do którego czołowych figur należy p. Budzyński. Uderzono w „Saturna", odezwało się „Jutro Pracy". Tak czy nie? Prawda czy nie prawda? Gdzie więc tu nasza „insynuacja" i ‚kalumnia"? Czyżby w personifikacji „Saturna" i „Jutra Pracy"? Czy p. Gąsowski przeczy, że personifikacja ta jest trafna?

Może teraz rozumie p. Gąsowski, dlaczego, naszym zdaniem, napróżno jechał do Zagłębia. Tak, by w tak wulgarny, prymitywny sposób obrzucić obelgami broniących się robotników, by tak, nie wiemy, naiwnie czy cynicznie podawać za dobrą monetę stare oklepane fabrykanckie frazesy, na to nie trzeba było jechać do Zagłębia, rozmawiać, jak twierdzi z „bezpośrednio zainteresowanymi". Na to wystarczyło poinformować się w dyrekcji. „Rzetelność dziennikarską" mierzymy nie ilością przejechanych w pociągu kilometrów a rzeczywiście rzetelnym zbadaniem realnych warunków. Tego — niestety — nie znaleźliśmy w artykule p. Gąsowskiego. A argumenty? Argumenty poważne mógł był przeczytać chociażby w artykule b. pos. Stańczyka, mógł usłyszeć od strajkujących górników lub w biurach C.Z.G. P. Gąsowski wolał jednak wymyślać od „wywrotowców".

Przechodzimy z kolei do insynuacji p. Gąsowskiego pod naszym adresem. Oparte są one na starej wypróbowanej zasadzie: „co prawda, to mnie przyłapano na gorącym uczynku, ale moja ciocia opowiadała, że twoja babcia ponoć kiedyś kradła kury". Jest to metoda, stosowana zawsze, kiedy zakłopotanie łączy się z bezsilną złością. O ile idzie o nas, to możemy powiedzieć tylko jedno: kapitaliści jeżeli komuś płacą (myśmy tego nie twierdzili i nie wiemy o tym nic bliższego) to płacą za obronę swoich interesów i swojej polityki. Niech czytelnicy

osądzą sami, kto w danym konkretnym wypadku bronił interesów p. Scheiblera. My chyba nie.

Jest ono dla nas tym bardziej miaro dajne, że znamy grupę właścicieli „Satourna' nie od dziś. P. Gąsowski może o tym nie wie, jak nie wie o tym wielu młodych endeków, że w biurach dyrekcyjnych fabrykantów łódzkich funkcjonowały za czasów zaboru oddziały ochranki. Wtedy nasi baronowie włókien niczy byli również patriotami — ale rosyjskiego caratu. Nie mamy powodu wierzyć ani patriotyzmowi, ani filantropii tych panów.

Pamiętamy, że kiedyś ci sami baronowie włókienniczy wspomagali bojówki przeciw niepodległościowcom i socjalistom (także wtedy „narodowe", także wtedy pod egidą p. Dmowskiego). I dlatego, kiedy słyszymy że, jak z zachwytem opowiada p. Gąsowski, pp. Scheiblerzy, Herbsty, Biedermanny chcą „finansować" wykłady „społeczno-wychowawcze" dla młodych robotników, to wiemy doskonale o co chodzi, tak samo jak wiedziała o tym załoga „Saturna".

P. Gąsowski nie wie lub udaje, że nie wie. Nie dość na tym, kto nie wierzy w szlachetne zamiary pp. Scheiblerów, jest już automatycznie antypaństwowcem, wywrotowcem, wrogiem Polski. „Przeciw Państwu", „pod znakiem Z. S. S. R. i Stalina", „wywrotowe elementy", „komunistyczne bojówki", „wywrotowcy - wichrzyciele", „pieniądze obce", „działalność wyraźnie wywrotowa", „musi wkroczyć państwo" — tak pisze p. Gąsowski o strajku, kierowanym przez Centr. Związek Górników, o strajku, którego motywom poświęcił w „Robotniku" trzyszpaltowy artykuł sekretarz gen. tego Związku, b. pos. Stańczyk. I potem jeszcze ten sam pan ma... odwagę skarżyć się na „kalumnie" i „insynuacje" ...innych!

„ALBO — ALBO".

Pod takim tytułem jął wychodzić w Krakowie (Plac Zgody 4) z dniem 1 grudnia nowy dwutygodnik, w którym cenną i żywotną pozyskała placówkę myśl, walcząca o wolność ducha i postęp społeczny.

Uzasadnieniem tytułu jest zamieszczony na czołowej kolumnie artykuł Leona Kruczkowskiego, znakomitego autora powieści „Kordian i Cham" — „Pawie Pióra" — „Sidła".

Artykuł brzmi jak hejnał a kończy się bezpośrednio wezwaniem do czytelników:

„Wybierajcie!

ALBO swobodny byt, ALBO despocja i jarzmo.

ALBO republika pracy, budowana wolnymi rękami, ALBO odrutowany obóz niedoli powszechnej.

ALBO żyzność i uroda życia, ALBO hańba i podeptanie.

ALBO jasno od myśli, ALBO noc grubo zaciągnięta nad sponiewieranymi sumieniami.

ALBO demokracja ludowa, ALBO faszyzm.

Wybierajcie, Obywatele!".

Kto wyboru dokonał na rzecz wolności i godności człowieka, ten, nie wątpimy, będzie stałym i wiernym czytelnikiem nowego czasopisma.

AKCJA KATOLICKA NA ŚCIEŻKACH NOWEJ HEREZJI.

Jak wiadomo, endecja odniosła się „krytycznie" do ogłoszonego niedawno przez prymasowską Radę Społeczną programu reform agrarnych. *„Warszawski Dziennik Narodowy"* wystąpił z zarzutem, że w 14 punktach tego oficjalnego programu Akcji Katolickiej pominięto antysemityzm jako jedyny środek rozwiązania sprawy rolnej w Polsce. Wprawdzie (co z całym naciskiem podkreślić należy) nigdy i nigdzie Akcja Katolicka nie przeciwstawiła się w imię chrystianizmu barbarzyńskiej hecy żydożerczej, ale w oczach obozu „narodowego" zgrzeszyła już przez to samo, że ośmieliła się wskazać inne, niż wypędzenie Żydów, środki naprawy ustroju rolnego.

Jeszcze przed tym ukazał się w endeckiej *„Myśli Narodowej"* artykuł p. Zofii Żółtowskiej-Dąbrowskiej, poświęcony obronie interesów obszarniczych, zagrożonych ponoć przez... tęże samą Akcję Katolicką. Artykuł ten, doskonale charakteryzujący społeczną treść endeckiego katolicyzmu, gwałtownie zaatakował księdza Machaya, który niedawno z ramienia Akcji Katolickiej publicznie wypowiedział się za reformą rolną. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień zaznaczmy odrazu, że reforma rolna w rozumieniu Akcji Katolickiej i ks. Machaya w najlepszym wypadku oznacza częściową parcelację pewnej liczby folwarków, parcelację dobrze płatną, nie zagrażającą więc w żaden sposób nie tylko istnieniu warstwy ziemiańskiej jako takiej, ale nawet poszczególnym „dotkniętym" reformą rolną obszarnikom. Program rolny Akcji Katolickiej nie różni się zasadniczo od polityki rolnej min. Poniatowskiego, nie ma tedy nic wspólnego z programem Stronnictwa Ludowego i całej demokracji, nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek radykalizmem społecznym.

Ale obszarnicy w ogóle boją się poruszania sprawy rolnej. Woleli by, żeby cicho było w Polsce o położeniu chłopów, o głodzie ziemi, o wielkich latyfundiach posiadanych przez warstwę feodalną. Samo zwrócenie uwagi na doniosłość zagadnienia rolnego, to w oczach obszarników już radykalizm czy zgoła bolszewizm. I dlatego p. Żółtowska-Dąbrowska zarzuca ks. Machayowi, że podsyca „namiętności i zachcenia jednej, jedynej warstwy". Oczywiście nieprawda — Akcja Katolicka nie propaguje walki klas i niezachwianie stoi na gruncie dzisiejszego ustroju rolnego. Endecka publicystka krzywdzi przeto ks. Machaya, gdy twierdzi, że z słów jego wieje „duch niechęci klasowej". I jeżeli w świętym uniesieniu woła pod adresem Akcji Katolickiej, że nie wolno dopuścić do reformy rolnej „właśnie ze względu na *dobro ojczyzny i narodu"*; jeżeli grozi straszliwą klęską społeczeństwu, które pozbawione cennej warstwy obszarniczej „było by okaleczałe, było by tworem nienormalnym (!), pozbawionym jednego z organów swojej kultury" — to w każdym razie można uspokoić przerażoną endeczkę, że zbrodnia taka nie leży bynajmniej w zamiarach Akcji Katolickiej. I p. Żółtowska-Dąbrowska uległa niewątpliwie panice, jeżeli w wystąpieniu ks. Machaya wietrzy... żydowską robotę i alarmuje: „podkopywanie zasady własności, np. przez reformę rolną, niszczenie niezależnego materialnie stanu właścicieli ziemskich, jest wodą na młyn polityki żydowskiej". Tak, ks. Machay na stare lata Żydom wodę nosi, a patronuje mu w tym Akcja Katolicka...

W ogóle, gdy wierzyć endeckiej publicystyce, Akcja Katolicka jest po prostu rozsadnikiem najbardziej wywrotowej propagandy. Bo tu ks. Machay chce zniszczyć obszarników, a niedawno w poznańskiej *„Kulturze"* Jerzy Bandrowski ośmielił się przyznać, że za hiszpańską rebelią kryją się interesy reakcji. W katolickim organie! Zresztą — woła oburzona pani — *„zawiść społeczna nie* pierwszy raz odzywa się z jego łamów".

A przecież katolicka akcja społeczna w Polsce bynajmniej nie kroczy drogami, obranymi przez demokratyczny odłam katolików francuskich i daleka jest od wszelkich nawet pozorów radykalizmu. I tylko bezgraniczny prymitywizm reakcyjny pozwala p. Żółtowskiej-Dąbrowskiej widzieć w naszej Akcji Katolickiej instytucję, w której skupili się „katolicy propagujący niechęć społeczną warstw uboższych do warstw zamożniejszych, podniecający w społeczeństwie gorączkę reformatorską bez poczucia odpowiedzialności... za skutki zniszczenia autorytetu". Zarzut taki tłumaczy się jedynie panicznym strachem obszarnictwa przed samym terminem „reforma rolna", na którego dźwięk autorka dostaje widocznie palpitacji serca. Endecka publicystka straciła już chyba zupełnie pa-

nowanie nad nerwami, jeżeli *kierowaną przez episkopat* instytucję oskarża o szerzenie poglądów, które *„są ścieżką do nowej jakiejś herezji i prostują drogi nie komu innemu, jak materialistycznemu komunizmowi"*.

Strach ma wielkie oczy. Rozżalona białogłowa zapomniała nawet o masonach. Odrazu Komintern. Akcja Katolicka sekcją Kominternu! Ks. Machay bolszewickim agentem!

Pocieszne to zjawisko ilustruje oczywiście metody, jakimi nie gardzi ultrakatolicka warstwa obszarnicza, gdy tylko poczuje rzeczywiste lub urojone (jak w tym wypadku) zagrożenie swych materialnych interesów. Zastanawia natomiast fakt, że tę napaść na katolicki ruch społeczny i na poważnego działacza katolickiego, w dodatku duchownego, wydrukowano w organie stronnictwa, które przypisuje sobie monopol na katolicyzm. Pamiętajmy jednak, że endecja ma ostatnio powody do niezadowolenia z polityki Akcji Katolickiej, która autorytetem swym poparła zorganizowane niedawno Stronnictwo Pracy, powitane przez endeków jako nowa placówka „żydo-komuny". Kwestionując w ten sposób endecki monopol na katolicyzm — Akcja Katolicka wkroczyła oczywiście na drogę herezji i komunizmu. Taka jest logika „narodowa".

NIE ZAWSZE UCHODZI NA SUCHO.

Nie każdy, kto podchwytuje piosenkę kalumniatorską o nauczycielstwie związkowym, śpiewaną na różne głosy przez czeladź reakcji, ma powód do radości. Bo oto sąd grodzieński skazał mieszkańca wsi Kruszyniany, Bolesława Patelskiego, na rok więzienia i 100 zł. grzywny, oraz na zapłacenie kosztów sądowych. Sąd skazał Patelskiego za to, że w piśmie do Inspektora Szkolnego w Grodnie z całą świadomością oskarżył fałszywie kierownika szkoły Antoniego Łukaszewicza o robotę antypaństwową, o agresywny stosunek do kościoła, o sianie zgorszenia przez wykonywanie pracy w święta.

Wszystkie te zarzuty w przewodzie sądowym zostały przygwożdżone jako fałszywe i zmyślone. Rzecz jasna, iż te oszczercze pomysły nie uległy się samorodnie w słabej głowie nieszczęsnego Patelskiego z Kruszyniańskiego zaścianka. Zaród tego fałszu i nienawiści do nauczyciela - demokraty naniosły tam różne Gońce i Orędowniki mroku, które niemal co dnia szczują przeciwko Związkowi Nauczycielstwa Polskiego.

Patelski, jako ofiara spisku ciemnoty, będzie miał teraz dużo czasu do rozmyślań nad skutkami bezkrytycznego naśladowania swych ojców duchowych i przewodników.

GŁOS OBOWIĄZKU SPOŁECZNEGO

P. Mieczysław Mirek nadesłał nam zbiór swoich nowel p.t. „Jędrusiowa nuta" (wyróżniona na konkursie poznańskim) i „Mogiła" (obrazki osnute na tle życia Podhalan). Uderza nas dedykacja autora, objaśniająca praktyczne przeznaczenie książki: „Skromne opowiadanie poświęcam Ofiarnym, którzy przez zakupno tomiku mych nowel przyczynili się do budowy szkoły w Naprawie".

Z załączonego listu p. Mieczysława Mirka dowiadujemy się, że on, będąc nauczycielem, włożył w wydanie tej książki wszystkie swoje oszczędności z zamiarem, „aby pomóc spętanym ludziom w Naprawie" i przyczynić się „do wybudowania szkoły w wiosce, wymazanej z kart życia". Przemilczana książka nie osiągnęła swego celu, gdyż b. słabo się rozeszła. Komitet Budowy szkoły w Naprawie, składający się z drobnych rolników i nauczycieli tamtejszych, apeluje do czytającego ogółu, aby przez nabywanie pracy p. Mirka umożliwił wzniesienie budowli. Cena książki 1 zł. 50 gr. Adres: Komitet Budowy szkoły w Naprawie, poczta Jordanów. Pani Zofia Walasowa, kierowniczka szkoły.

Redakcja Epoki dołącza swój głos do wezwania tych wytrwałych i uspołecznionych ludzi z Naprawy.

O minimum logiki

Prof. Michałowicz, prezes Klubu Demokratycznego, uzasadniając swe negatywne stanowisko wobec „ghetta ławkowego", powołał się, między innymi, na to, że Twórca chrześcijaństwa, Jezus Chrystus, był Żydem. Oświadczenie to do żywego dotknęło rzeczników ghetta, którzy tak chętnie uważają siebie też za patentowanych katolików i awangardę wojującego Kościoła. Wśród przeciwników prof. Michałowicza znalazło się także dwóch księży warszawskich, którzy oświadczenie jego nazwali „herezją". Butnemu wystąpieniu tych księży przyklasnęła cała nasza prasa ciemnogrodzka, nie pomijająca żadnej sposobności, aby przyłożyć rękę do spychania umysłowości polskiej na coraz niższy poziom. Wszelako tryumf ignorantów był niedługi. Z obroną tezy prof. Michałowicza śmiało i otwarcie wystąpił w odczycie publicznym dr. Ryszard Ganszyniec, znakomity filolog i humanista, prof. Uniwersytetu we Lwowie. Z odczytu tego, ogłoszonego następnie drukiem, pozwalamy sobie przytoczyć jeden ustęp, stanowiący sam przez się, bogaty zdrój myśli wysoce cennych i ciekawych. Ustęp ten jest odpowiedzią uczonego na pytanie: czy Jezus był Żydem?

EPOKA

Trudno mi wierzyć, by w sprawie tak elementarnej teolog się nie wyznawał. Więc ma to być obelgą, jeżeli Jezusa uważamy za żyda? Więc rzeczywiście to „herezja", jeżeli ktoś kapłanom żydożercom przypomina żyda Jezusa, któremu kapłan służy, i wszystko, czym jest, zawdzięcza? Rozumiemy, iż taki fakt może być krępujący, bo wręcz uniemożliwiający akcię ghettową w szerokich warstwach wierzących. To też autor **Podstaw XIX stulecia** Chamberlain, wystąpił z twierdzeniem, że Jezus Chrystus, jakkolwiek urodził się w Palestynie, był Aryjczykiem a nie żydem. Dowodem na to miał być jego antagonizm wobec żydów jerozolimskich, Jego wzniosła etyka, Jego wygląd. O najważniejszym argumencie Chamberlain zapomniał: o obrazie Chrystusa, jaki nosimy w sercu, i któremu wyraz dają czasem klasyczne obrazy artystów, przedstawiających Jezusa jako wykwit nie tylko typu aryjskiego, ale nawskroś arystokratycznego. Niemiecki teolog Dobschütz przedstawił w zajmującym studium „zmiany obrazu Chrystusa w ciągu wieków". Nie podkreślił przytem faktu, jaki duży wpływ na ukształtowanie głowy i twarzy wywarła słynna statua Maussollosa, króla Karii. Król ten rasy niesemickiej umarł w roku 352 przed Chrystusem i jego żona Artemisia zleciła najlepszym rzeźbiarzom greckim wykonanie monumentalnego grobowca, właśnie owego mausoleum, którego ukoronowanie stanowiła kolosalna statua samego króla dłuta może Skopasa. Na statui tej wzorował się niejeden rzeźbiarz późniejszej epoki, i niejedna głowa Zeusa, najwyższego boga greckiego, pożyczyła rysy swe od tego Maussollosa. Także późniejsze obrazy Chrystusa, które — jak teraz rozumiemy — nie mają w sobie nic żydowskiego, lecz odzwierciadlają szlachetne formy bogów helleńskich. Ale świadczy to tylko o ar-

tystach — o portretowym podobieństwie Chrystusa nie ma mowy, rzeczywistego wyglądu Jezusa, mimo listu króla Abgara i całunów Weroniki, nie znamy. — Natomiast wiemy, kim Jezus był: był Galilejczykiem, zelotą żydowskim; był reformatorem religijnym i nacjonalistą żydowskim. Pochodził z rodziny 100%-owych żydów — ewangelie z całą skrupulatnością podają nam drzewo genealogiczne i matki Jego Mraii i ojca opiekuna Józefa, i cokolwiek sądzić o tym rodowodzie, odzwierciedla on nie tylko przekonanie, ale i wiedzę pierwszej generacji chrześcijan, wśród której jeszcze przebywała sama Matka Boska, chełpiąca się tym właśnie rodowodem. — Jezus był nie tylko żydem, ale był także nacjonalistą żydowskim. Gdy kobieta, Kanaanitka, potomkini pierwotnych, przedizraelickich mieszkańców Palestyny, zwróciła się do Jezusa, by uwolnił córkę opętaną przez demona, Jezus odmówił tymi słowy (Matth. 15, 3): **„Powołany jestem do ratowania tylko Izraelitów".** A gdy biedna matka nastawała, powtórzył Jezus: **„Nie wolno odebrać chleba synom i rzucić go psom"**, przytem „psami" nazywa wszystkich nieżydów. I gdyby nie dowcip Kanaanitki, że przecież pozwala się pieskom zjadać okruchy chleba spadające ze stołu, odeszłaby z niczym od Jezusa żyda.

Ewangelie pod tym względem są absolutnie jasne i niedwuznaczne: Jezus był żydem i czuł się powołanym do wydźwignięcia s w e g o narodu do nowych wyżyn, wyżyn idealnych. Ale i teologia, która tak pochopnie szafuje pojęciem „herezji", właśnie w tym punkcie jest zupełnie zgodna. Uczy ona, że Chrystus (tj. żydowski **mesjasz** „pomazaniec") był człowiekiem i bogiem w jednej osobie, przyczym całym i zupełnym człowiekiem oraz całym i zupełnym bogiem, inaczej mówiąc: całym i zupełnym ż y d e m oraz bogiem. Kto inaczej twierdzi lub inaczej to rozumie, napewno jest w sprzeczności z tradycją i wiarą katolicką, która właśnie o to wiodła zawzięte kilkuwiekowe spory dogmatyczne. Bo to tacy ks. Trzeciakowie nie od dziś dopiero petają się na arenie antysemickiej: mają oni wcale licznych, a wśród nich wcale poważnych antenatów, imponujących nam ponadto czasem i oryginalnością i erudycją. Jednych (doketów) raziło to, iż Chrystus, zbawca świata był człowiekiem z wszystkimi dolegliwościami i z całym brudem człowieczeństwa: uczyli więc oni, iż postać Chrystusa to eteryczne, astralne ciało, nie urodzone, lecz zesłane ze sfer niebiańskich, wiodące tu życie tylko pozorne. Eutychianie zaś twierdzili, że Jezus Chrystus był tylko jedną osobą, w której bóstwo zastąpiło istotę ludzką, i uformowało sobie specjalne ciało, że Chrystus miał wobec tego tylko j e d n ą naturę (monophysitismus), więc nie był w ogóle człowiekiem w potocznym tego słowa znaczeniu.

Ale obok nich byli też antysemici prawie że nowoczesnego pokroju, którym Jezus Chrystus jako bóg-żyd był mocno nie na rękę, a którzy będąc zapalonymi chrześcijanami nie mogli pogodzić się z myślą, iż wiara ich jest ostatecznie tylko sektą, latoroślą żydowską. Był wśród nich żyjący jeszcze w czasach apostolskich Markion, genialna głowa, reformator chrześcijaństwa serdecznie znienawidzony przez wschodni Kościół: on to skonstruował chrześcijaństwo czysto helleńskie, zupełnie bez elementów semickich i ks. Trzeciak wraz z całą Falangą i falangą antysemitów będą napewno niepocieszeni, że Markion nie odniósł zwycięstwa w Kościele katolickim. Ponieważ uczoność tych panów zapewne nie sięga tak daleko, a szczery żywię podziw dla genialności tego heretyka, który naszym antysemitom posłużyć może za wzór uzgadniania kwestii wiary z programem politycznym, warto podać główny zarys jego systemu. Markion jest naturalnie zwolennikiem filozofii platońskiej, najpopularniejszego światopoglądu wśród inteligencji helleńskiej I wieku po Chr. Jest całą duszą chrześcijaninem, całą głową i sercem całym Hellenem. Uznaje więc fakt istnienia Boga żydowskiego i Starego Testamentu, którego psalmy i pisma stanowiły obowiązkową lekturę podczas nabożeństw chrześcijańskich tak samo, jak w gminach żydowskich, od których pierwsi chrześcijanie przejęli porządek i tekst liturgii. Ale obok tego uznaje też powstanie nowej religii, której sam jest zwolennikiem, z nowym bogiem, Chrystusem, jako centrum, i wypływającą stąd potrzebę nie tylko określenia wzajemnych stosunków tych religij, ale też nowej liturgii. Markion więc przeprowadza konsekwentny podział, którego schemat mogła mu podać mythologia grecka. Tak jak tam pierwszym najwyższym bogiem był Uranos, zdetronizowany przez syna Kronosa, który ze swej strony sam padł ofiarą ze strony syna swego Zeusa, tak przyjął i Markion w religii żydowsko-chrześcijańskiej istnienie dwóch bogów, Ojca i Syna. Bóg Ojciec był Starym Bogiem, Bogiem Starego Testamentu, Bogiem żydów; Bóg Syn był młodym Bogiem, Bogiem Nowego Testamentu, który mu stworzył dopiero Markion ok. r. 120 po Chr. z ewangelii, listów i innych pism apostolskich, aby na nabożeństwach swych chrześcijanie mieli co czytać nie posługując się pismami starożydowskimi; śpiewanie psalmów zastąpił śpiewem hymnów greckich. Poglądowi swemu dał też filozoficzne pogłębienie, platońskie: stary Bóg — to owo absolutne bóstwo platońskie, Christos zaś jest platoński twórca świata (demiourgos), stoickie słowo (logos). Zhellenizował chrześcijaństwo aż do nazwy Christusa (christos „pomazaniec" — mesiasz), którą zmienił na równobrzmiący Chrêstos „dobry" i przez cały II wiek chrześcijanie właśnie tak rozumieli chrześcijaństwo. Pierwsze impulsy do platonizującej teologii, która potem w Kościele katolickim miała zwyciężyć, dał Markion.

Daleko naszym antysemitom katolickim do tej konsekwencji myśli i odwagi duchowej, które cechują Markiona. Wolą oni raczej zamykać oczy na fakt, dla nich nad wyraz przykry, że człowiek wiszący na krzyżu, że Jezus Chrystus był żydem, który dla uniknięcia możliwego nieporozumienia z całym naciskiem powiedział: **„Salus ex Judaeis est"** (zbawienie wychodzi od żydów, Jan 4. 22). Mamy chyba prawo domagać się od tych, którzy parają się niby inteligencją, pewnego minimum logiki: jeżeli ze względu na czystość „rasy polskiej" uważają za konieczne ghetto żydowskie, to do tego ghetta powinni zesłać także Jezusa wraz ze swą Matką, apostołów i ewangelistów wraz z ich pismami, stanowiącymi podstawę chrześcijaństwa. Co pozostałoby z chrześcijaństwa? Wspomnienie dalekie i — teologia mar-

FASZYSTOWSKA OJCZYZNA: TYLE A TYLE MILIONÓW NIEWOLNIKÓW SKAZANYCH NA ENTUZJAZM.

kiońska. Fakty mają swoją immanentną logikę, jak tego dowodzi hitleryzm, który po załatwieniu się z żydami, zabrał się do rozprawy z katolikami, a po nich z protestantami, a wręcz z chrześcijaństwem. Nie można bowiem rozpalać do białego nienawiści do żydów, i nie zmieniać swego stosunku do religii, która wszystkimi swymi korzeniami, całą swą historią tkwi w kulturze żydowskiej.

Bynajmniej nie twierdzę, iż jestem lepszym katolikiem od Wszechpolaków, którzy jak wiadomo na wszystko mają wyłączność i patent, ale katolikiem jestem i pamiętam jeszcze katechizm i Biblię, która i dziś należy do moich ulubionych książek. Biblia składa się ze Starego i Nowego Testamentu i ma tę osobliwość, iż ani jeden wiersz tam nie pochodzi od Aryjczyka, lecz każda literka od autentycznych żydów. Przy projektowanym przez naszych proroków narodowych spalaniu książek żydowskich, na pierwszy ogień chyba pójdzie Biblia jako najstarsza księga i podstawa religii żydowskiej, i przyznaję, że żal mi Biblii, na razie dostanie się do ghetta a potem na stos. W Biblii tej są mądrości, które w młodości zrobiły na nas głębokie wrażenie, wryły się w pamięć i stały się po prostu naszymi normami życiowymi. Jezus np. nas poucza (Matth. 7,21): **„Nie każdy, który mi mówi: „Panie, Panie", wejdzie do królestwa niebios, lecz ten, który spełnia wolę Ojca mego, który jest w niebie. Wielu mi powie w onym dniu: „Panie. Panie, czyż nie prorokowaliśmy w twym imieniu, w twym imieniu czyż nie wypędziliśmy demonów, czyż nie zrobiliśmy innych cudów w twym imieniu?" A ja im powiem: „Przecież nigdy na żywe oczy nie znałem was. Zabierajcie się stąd, złoczyńcy!"** Tam też uczy Chrystus zasadniczych obowiązków wobec Boga i ludzi. Pytał go mianowicie uczony żydowski, jaki jest pierwszy i najwyzszy nakaz Boga (Mark. 12, 28 nn.). W odpowiedzi na to przypomniał Jezus słowo Starego Testamentu: **„Kochaj Pana Boga z całego serca twego i z całej duszy twej". To pierwszy nakaz. Jest i drugi podobny: „Kochaj bliźniego tak, jak siebie samego". Nie ma** — dodaje Jezus — **ważniejszych nakazów od tych".** Są one ważniejsze od modlitwy i ofiary. **„Zakon i proroków** — powiada jeszcze Jezus (Matth. 7, 12) — **zastąpi wam jeszcze to prawidło życiowe: Uczyńcie innym ludziom to, czego życzycie, by ludzie wam uczynili".** Są to staroświeckie przepisy Jezusa, na których nas wychowano. Ks. Trzeciak ma teraz inne. Nie jestem księdzem, jestem tylko szarym katolikiem; i znam tylko Stary i Nowy Testament, nie znam Testamentu Najnowszego. **„Po owocach poznacie ich", radzi Jezus (Matth. 7, 16).** Ten Najnowszy Testament ks. Trzeciaka i jego towarzyszy musi jednak być paskudnym, arcypaskudnym szpargałem, skoro tam najwyższym nakazem jest nienawiść do bliźniego, nienawiść „narodowa" okraszona obłudą, z którego jako owoce spadają nam na głowę zgniłe jaja, kamienie, pałki, który rozbija społeczność, który każe tłuc szyby, niszczyć i dobytek i rabować mienie drugich, podważa władzę, zagraża państwowości.

Wincenty Rzymowski

Dożynki Warszawskie 1937 r.*)

OBÓZ BOLSZEWICKO-NARODOWY**)

CHCE BYĆ MIECZEM CHROBREGO, CHCE BYĆ ARKĄ [ZNICZA,
A NA SZYI SWEJ DŹWIGA — TRUP NARUTOWICZA.

HRABYK

W CZYM SIĘ ZAMYKA
ROLA HRABYKA?
TYJE, PĘCZNIEJE,
SMARU NABIERA,
AŻ SIĘ PRZELEJE
W OKRĄGŁOŚĆ ZERA.

SYLWETKA AKTUALNA

GŁÓWKA JAK OD SZPILKI, KRĘGOSŁUP JAK TRZCINA,
LECZ KAŁDUN I ZĘBY — REKINA.

NOWACZYŃSKI

CZARNE MA PODNIEBIENIE
I CZERŃ ZA PAZNOGCIEM.
GDZIEKOLWIEK SIĘ WTRANŻOLI
BUDZI NAGŁE OŻYWIENIE:
LUDZIE TRĄCAJĄ SIĘ ŁOKCIEM
I SZEPCĄ: ZDALEKA — BO SMOLI.

SZYMON LANDAU

ŻE LANDAU JEST GODNY POLSKI, RZECZ DLAŃ ZROZUMIAŁA.
LECZ ON PYTA: A POLSKA — CZY GODNA LANDAUA?

SKIWSKI

PISARZ SERIO,
ŻADNĄ NIE GARDZI PRACĄ,
LECZ BRZYDZI SIĘ DONKISZOTERIĄ
I PYTA Z GÓRY: CZY PŁACĄ?

---

*) Poprzednie serie „Dożynków" w n-rach 17, 18, 19, 20, 21.

**) Tak Józef Piłsudski nazwał środowisko, z którego wyszedł zabójca pierwszego Prezydenta.

KOZŁOWSKI

GDY JUŻ OSTATNIĄ WYGOLI FLACHĘ,
NA ZAWSZE ZAMKNIE UST WIERZEJE,
I ŚMIERĆ GO CHWYCI HE-HE-HE POD PACHĘ,
BY ZA CMENTARNE POWIÓDŁSZY WROTA
ZŁOŻYĆ POD CIENIEM BRZOZY ALBO CISU,
WTENCZAS ON, WIDZĄC SIĘ W PRÓCHNIE,
NAWET Z SWEGO ŻYCIORYSU
GRZMOTEM ŚMIECHU JUŻ NIE GRUCHNIE.

MOŻE TYLKO, NIM ZADNIEJE,
ŻWIR MOGILNY SIĘ ZAŚMIEJE,
GDY O TRUMNY DNO ZAZGRZYTA.
W OCZY PIACH MU ZACHICHOTA
I PARSKNIE: COMMEDIA FINITA!
ZEZEM SPOJRZY NAŃ ROPUCHA
ROZRECHOCE SIĘ WESOŁO:
A WSZYSTKIM WYDA SIĘ WKOŁO
ŻE TO ON ŚMIECHEM WYBUCHA
ŻE SIĘ WCIĄŻ KOZŁOWSKI ŚMIEJE.

PIETRKIEWICZ

OZONIE! PODAJ MI SIDŁA!
PARDON! RZEC CHCIAŁEM: PODAJCIE MI SKRZYDŁA'
NIECH FANTASTYCZNIE NASTROJONA LUTNIA
WYPOWIE WSZYSTKO, CO CZUJE DUCH TRUTNIA,
W REKORDOWYM LOCIE,
GDY GO NIE NĘCĄ ZŁOTE MALOWIDŁA
LECZ ZŁOTE W ZŁOCIE.

B-CIA BOCHEŃSCY

RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE
(MŁODZI PONIŻEJ LAT 40)
NIE ŻAŁUJMY SŁÓW NI GESTU!
DZIESIĄTA BRYGADA NA CZELE.
NIECH PRZEPADNĄ DAWNE SWARY,
W JEDNOŚCI MOŻNYCH SĄ I NASZE CELE.
GÓRĄ CUKROWNIE I FARY,
GÓRĄ KRUCHTY I BROWARY!
DZIESIĄTA BRYGADA NA CZELE:
RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE!

HULEWICZ

I ON CHCIAŁBY, JAK INNI, BYĆ GŁOŚNY, BYĆ WIELKI.
CHCIAŁBY DŹWIGNĄĆ SIĘ WYŻEJ: WIĘC PODCIĄGA
SZELKI.

JÓZEF PONIATOWSKI

ŻYŁOBY SIĘ W POLSCE WCALE NIE NAJGORZEJ,
GDYBY 8.000.000 CHŁOPÓW WYSIEDLIĆ ZA MORZE.

ŁASZOWSKI

ZNACIE METODĘ
TEGO JEGOMOŚCIA?
NIE PŁYNĄĆ NIGDY POD WODĘ
I PISAĆ ZAWSZE POD GOŚCIA.

Renesans przywileju

(Dokończenie)

Obalając władztwo przywileju, stworzyła więc demokracja grunt pod rozwój nowoczesnego narodu, złożonego z równoprawnych obywateli, położyła fundamenty pod gmach państwa narodowego, zrodziła armię, opartą na powszechnym obowiązku służby wojskowej. Historia uczy, że walka z przywilejem była dla demokracji nie tylko wynikiem zasad humanitarnych XVIII i XIX wieku, ale płynęła z praktycznych potrzeb rozwoju społecznego, które w umysłach ludzi oświecenia wytworzyły właśnie ów system humanitarnych idei wolności i równości. Niezliczone przegrody i przywileje, dzielące stare społeczeństwo na stany, kasty, korporacje, cechy, gildie i t. d., stały na zawadzie rozwojowi sił wytwórczych, krępowały skostniałą rutyną wszelką działalność przemysłową i handlową, trzymały rolnictwo na najniższym poziomie, zmniejszały wydajność każdej pracy produkcyjnej, tamowały wzrost dobrobytu. Najrozmaitsze monopole i zakazy, służące grupom uprzywilejowanym i zdawna zasiedziałym w poszczególnych dziedzinach produkcji i wymiany, nie dopuszczały do działalności ekonomicznej nowych, energicznych i wolnych od tradycyjnej rutyny żywiołów, reprezentujących wtedy postęp i nowe metody pracy, przeznaczonych przez historię do objęcia kierownictwa życiem gospodarczym. Wymiatając rumowisko przywilejów i monopoli, demokracja oczyściła drogę bujnemu rozwojowi nowoczesnych społeczeństw, zapewniła narodom nieznany przed tym poziom dobrobytu i kultury, wciągnęła nowe terytoria i młode — albo stare, skostniałe w rutynie — ludy w krąg nowoczesnej cywilizacji, rozniosła tę cywlizację po całym globie. Któż nie rozumie dzisiaj, jak uwsteczniająco działały na rozwój gospodarczy i społeczny prawa, zakazujące mieszczanom nabywania ziemi a szlachcie trudnienia się handlem i przemysłem, przepisy zamykające Żydów w izolowanym **ghetto**, odsuwające ich od pracy produkcyjnej i skazujące na życie „z powietrza", czy wreszcie przywileje zagradzające „plebejom" dostęp do godności cywilnych, wojskowych i kościelnych? I kto zechce odmawiać dziś demokracji jej olbrzymiej zasługi historycznej, polegającej na usunięciu wszystkich tych, nie tylko antyhumanitarnych, ale i antyekonomicznych, przegród i przywilejów?

A przecież istnieją, rosną na siłach i znaczeniu czynniki i tendencje, zmierzające do ponownego poszatkowania społeczeństwa, do pokrajania ich przegrodami monopoli i przywilejów, do zróżnicowania praw i obowiązków obywateli. Wypowiedziano wojnę „demo-liberalnej" czy „masońskiej" zasadzie równości wszystkich wobec prawa. Otwarcie głosi się władztwo przywileju a odebranie pewnym kategoriom obywateli takich czy innych praw, już nie tylko politycznych, ale i cywilnych, obwieszcza się jako narodową konieczność. Jeżeli jednak w dziedzinie publiczno-prawnej renesans przywileju rzuca się łatwiej w oczy, choćby dlatego, że musi dokonywać się na ogół w drodze ustawodawczej, w drodze jawnych i oficjalnych potwierdzeń prawnych — to w sferze praw prywatnych proces ten przebiega całym szeregiem pomniejszych ścieżek, nieraz serpentynowatych

i okólnych, często sprytnie zamaskowanych, które dopiero w dalszych studiach łączą się w większe, jawne już szlaki. Początkowo będą to wszelkiego rodzaju faktyczne pogwałcenia praw cywilnych poszczególnych obywateli, drobne pokrzywdzenia jednych na korzyść drugich, pozorowane najrozmaitszymi ideologiami i względami natury niematerialnej, choć zmierzają do materialnego uprzywilejowania pewnych grup ludności kosztem innych. Potem przyjdą odpowiednie, ale jeszcze nie powszechne a częściowe i miejscowe, zarządzenia różnych zrzeszń posiadających charaktr zbliżony do publiczno-prawnego lub nawet wprost publiczno-prawny. Powszechna norma prawna legalizująca nierówność prawno-prywatną, sankcjonująca przywilej jednych i nierównoprawność innych, może przyjść w ostatnim stadium procesu — może nie przyjść w ogóle. Na stan faktyczny ma to już wpływ drugorzędny.

IDEOLOGIA, KTÓRA DAJE DOCHODY...

Przykłady? Gdyby projekt ordynacji wyborczej lwowskiego „Zarzewia" stał się kiedyś ustawą — wtedy uprzywilejowanie pewnej grupy obywateli i pokrzywdzenie innych byłoby rzeczą legalnie stwierdzoną i przez wszystkich zauważoną. Jeżeli jednak pikieta pod żydowskim sklepem nie dopuszcza do niego chrześcijańskich klientów — to na razie wolność handlowania, swoboda zawierania umowy kupna-sprzedaży została odebrana **faktycznie pewnej** liczbie sprzedających i kupujących. Jak dotąd, nie powstał jeszcze żaden przywilej ani uszczerbek **prawny**. Tak będzie na to reagował każdy, kto nie rozumie, że prawo formułuje tylko pewien stan faktyczny i że także w dziedzinie prywatno-prawnej stwarzanie faktów dokonanych pociągnie za sobą nowe sytuacje prawne. Bo już w następnym stadium tego procesu wskrzeszenia przywileju komisaryczny prezydent m. Poznania zapowie — jak wiemy z prasy codziennej — wyciągnięcie konsekwencyi służbowych wobec tych pracowników miejskich, którzy kupują u żydowskich sprzedawców lub leczą się u lekarzy-Żydów. Nie ma tu jeszcze powszechnie obowiązującej normy prawnej. Ale jest już przywilej, nadany pewnej grupie kupców i lekarzy przez zrzeszenie o charakterze niewątpliwie publiczno-prawnym: przez municypalność miasta Poznania. Jednocześnie innej grupie kupców i lekarzy odbiera się prawo sprzedawania pewnym klientom i leczenia pewnych pacjentów — a pewnej określonej grupie zawodowej, jaką są pracownicy miejscy w Poznaniu, odbiera się wolny wybór sklepu, w którym zechcą kupić i lekarza, u którego zechcą się leczyć. Głębokim wyłomem wdarł się przywilej w sferę stosunków prywatnoprawnych — choć obowiązujący kodeks cywilny nie uległ zmianie i może w ogóle jej nie ulegnie. Te same skutki będzie miało np. wykluczenie pewnej grupy lekarzy cz yadwokatów z ich organizacji zawodowej, co — jak wiadomo — oznacza daleko idące uprzywilejowanie reszty, stworzenie dla niej monopolistycznego wręcz stanowiska w zawodzie, które umożliwia korzyści materialne nie płynące z kwalifikacyj fachowych a wyłącznie z przywileju, w danym wypadku wyznaniowego czy rasowego. Naruszona zostaje zasada wolności zawodu, choć odnośne normy prawne nie będą zmienione. Zawód staje się monopolem — organizacja zawodowa średniowiecznym cechem, zazdrośnie strzegącym ciasnego interesu uprzywilejowanych majstrów. Naturalnie przywilej może się oprzeć i na innych, niż wyznaniowe, kryteriach. Czytamy ostatnio, że w różnych organizacjach samorządu rzemieślniczego obok postulatów, stawiających rzemieślników-Żydów w warunkach, uniemożliwiających faktycznie wykonywanie zawodu, coraz częściej uchwala się żądania takich zmian prawa przemysłowego, które prawnie już uniemożliwiłyby uczniom i czeladnikom w zawodach uznanych za rzemieślnicze należenia do związków zawodowych wspólnie z robotnikami fabrycznymi. Niedawno zażądali tego wyraźnie majstrowi wielkopolscy, którzy uchwałą swego samorządu wyraźnie stwierdzają „niecelowość" wspólnej organizacji zawodowej robotników fabrycznych i drobno — czy średniowarsztatowych. Pp. majstrowie chcą **przywileju** dla siebie a **zakazu** dla swoich najemników, na których oczywiście koleżowanie z robotnikami fabrycznymi wpływa „demoralizująco"...

O LEPSZE LUB GORSZE WARUNKI STARTU ŻYCIOWEGO.

Ścieżki, którymi kroczy renesans przywileju, prowadzą zresztą nie tylko przez tereny bezpośrednio ekonomiczne. Nie zawsze widać, że dana inowacja zmierza wprost do napchania kabzy uprzywilejowanym kosztem pokrzywdzonych. Okólną drogą zmierza do tego samego celu wszelka izolacja jednych a wywyższenie, czy choćby wyróżnienie innych w dziedzinie obyczajowej, towarzyskiej i t. d. Czasem korzyści dla grupy uprzywilejowanej mogą służyć celom szerszym i dalszym, o których grupie tej nawet się nie marzy i których realizacji możeby i nie chciała. W takich wypadkach grupa uprzywilejowana w swoim skromniutkim zakresie — posłuży innym żywiołom do osiągnięcia całkiem grubych korzyści materialnych i politycznych.

„Ławki" żydowskie — to na pierwszy rzut oka dyskryminacja czysto towarzyskiej natury. Pozornie nie pociąga ona żadnych korzyści materialnych dla uprzywilejowanej obsady prawej strony sal wykładowych, ani żadnych szkód dla młodzieży, zmuszanej do siedzenia po lewej stronie. Pewna część studentów została poniżona obyczajowo. (Prosimy zwrócić i tu uwagę na **kolejność** etapów w tym procesie dyskryminacji: w zeszłym roku fakty dokonane — w tym zarządzenia **władz** akademickich). Podobnie, jeżeli na Podkarpaciu wyróżniono pewien, ponoć ćwierćmilionowy, odłam chłopów na podstawie stwierdzonego czy domniemanego pochodzenia szlacheckiego, to uprzywilejowani przez to samo nie odniosą jeszcze bezpośrednich korzyści materialnych. Zresztą korzyści te mogą przecież być dosyć skromne a mimo to spełnić szersze zadanie, które na tym odcinku przeznaczono przywilejowi.

Tak, odrębne ławki i stoliki w pracowniach, podobnie jak malownicze zjazdy szlacheckie—to przykłady niematerialnej na razie dyskryminacji czy też równie niematerialnego uprzywilejowania. Ale taka wyjątkowa pozycja obyczajowo-towarzyska stwarza dla jednych znacznie gorsze, a dla innych znacznie lepsze ogólne warunki startu życiowego, wysuwa uprzywilejowanych na czoło w danym zawodzie, by w końcu jednak... nabić im kieszeń w ułatwionych zmaganiach, dalekich od tego, co się nazywa **fair play.** A przecież chłop czteromorgowy, albo dziewięciomorgowy, nazwiskiem **de Tarnawa Nanowski** (autentyczne!), honorowany i fetowany w odróżnieniu od takiegoż, jak i on, chłopa, nazwiskiem **Banaś**

czy **Kowalczyk** — nawet bez doraźnych korzyści materialnych poczuje się uprzywilejowanym. I naodwrót — wszędzie, w gminie, w kółku rolniczym i w starostwie wobec uherbowanego sąsiada, z którego próżności mógł się dotąd co najwyżej naśmiewać, Banaś czy Kowalczyk będzie poniżony. I koniec końców, pozycja chłopa-szlachcica w różnych okolicznościach życiowych będzie jednak dogodniejsza od sytuacji chłopa-plebejusza. Ta nierówność sytuacji życiowej musi przynieść uprzywilejowanemu korzyści materialne, mimo, że w danym wypadku idzie o znacznie większe sprawy, niż o uprzywilejowanie pewnej liczby chłopów podkarpackich.

GWARDIE, BRONIĄCE NOWYCH FEODAŁÓW.

Ekonomiczny i społeczno - kulturalny rozwój współczesnych narodów zmierza nie w kierunku wskrzeszania różnych, dawno przez historię do rupieciarni złożonych, przywilejów i monopoli dla poszczególnych grup obywateli, ale przeciwnie — dąży naprzód, do zniesienia jedynego przywileju, jaki przy demokracji jeszcze istnieje: posiadania środków produkcji. Użytkowcy tego przywileju faktycznego sądzą, że najlepiej można go będzie uratować, jeżeli zasłoni się go mnóstwem mniej lub więcej korzystnych materialnie przywilejów prawnych dla różnych wybranych grup ludności, które dzięki temu stawać będą w obronie **każdego** przywileju, **każdej nierówności**, **każdego** ghetta: ekonomicznego, prawnego, obyczajowego.

Stąd atak przeciw zasadzie równości praw we wszystkich dziedzinach życia. Stąd atak na ten system prawny, na tę ideologię prawną, która nie zna żadnych przywilejów i dyskryminacyj — zna tylko obywatela jako podmiot praw cywilnych. Dyskretna kampania przeciw prawu rzymskiemu, prowadzona w ostatnich latach, zmierza właśnie do zdeprecjonowania tego systemu prawnego, który od schyłku wieków średnich był potężnym taranem, rozwalającym grube mury przywileju i nierówności i legł u podstaw nowoczesnego ustawodawstwa cywilnego, wyznającego równość praw i obowiązków wolnych obywateli. Te same żywioły, które oburzają się, gdy nowoczesne ustawodawstwo społeczne modyfikuje abstrakcyjne zasady prawa rzymskiego w interesie słabszych ekonomicznie — zmierzają do ich unicestwienia, tam, gdzie to jest korzystne dla uprzywilejowanych. Ruch ten, kryjący się pod niewinnym szyldem reformy studiów prawniczych, ma swych zwolenników nie tylko wśród młodej, dalekiej przecież od niezależności, biurokracji prawniczej. Wśród jego rzeczników spotykamy nawet uczonych (prof. Cz. Znamierowski), którzy — jak to uczeni — zawsze mogą dostarczyć sporo argumentów teoretycznych przeciw „przestarzałemu" prawu rzymskiemu. Ale — jak to nieraz uczeni — nie powiedzą, choć wiedzą, jakie realne tendencje kryją się w tych „dydaktycznych" z pozoru zaleceniach.

Przywilej prawny ma przyjść w sukurs przywilejowi ekonomicznemu. Ma utrwalić i zabezpieczyć istnienie nierówności ekonomicznej przez obwarowanie jej różnymi odmianami nierówności prawnej. Pośród wyróżnionych i protegowanych grup inteligenckich, drobnomieszczańskich i chłopskich mają się znaleźć gwardie, broniące wielkich feodałów pieniądza.

Takie znaczenie historyczne ma obecny renesans przywileju.

MICHAŁ JORDAN.

TEATR

Przegląd teatralny. Teatr Polski: *Nowakowski* „Gałązka rozmarynu". „Ateneum": *Zapolska* „Panna Maliczewska". Mały: *Szczepkowska* „Walący się dom". Malickiej: *Słowacki* „Maria Stuart". Narodowy: *Chersterston* „Człowiek, który był Czwartkiem". Kameralny: *Noe* „Krystian".

Sezon rozwinął się pod znakiem polskich sztuk. W przeciwieństwie do swego — tak nie poważnego początku — dał utwory, z którymi już można i należy sie liczyć.

Na pierwszy plan wysuwa się „Gałązka rozmarynu" siłą osiągniętego sukcesu i oryginalnością swej pozycji. Jest to faktomontaż, przedstawiony środkami prostymi i typowymi. Jeśli pomimo to sztuka porwała krytykę i budzi entuzjazm wśród publiczności, zawdzięcza to nie tylko swej bezpośredniości, wspaniałej reżyserii Węgierki i dekoracjom Śliwińskiego, ale również powszechnemu głodowi polskiej sztuki współczesnej. Nasz widz po raz pierwszy wyżywa się w akcji scenicznej i to jest przyczyną, że jej tak chętnie ulega: jego przeżycie własne przesłania mu samą sztukę.

W „Ateneum" została nam pokazana Zapolska, prawdziwsza, szczersza, istotniejsza, aniżeli przed tym w Teatrze Nowym. Czas posegregował już utwory Zapolskiej i w zestawieniu tych dwu sztuk: „Panny Maliczewskiej" i „Skiza" nie ostoi się twierdzenie o tendencji, psującej artystyczny walor sztuki. Okazuje się bowiem, że dziś porywają nas właśnie jej utwory tendencyjne, właśnie te, które obrazują wadę współczesnego społeczeństwa, odrzuciwszy wszelką hipokryzję. Pobłażliwość „Skiza" razi nas pewną sztucznością, manierą, rozpęd „Panny Maliczewskiej" przemawia do nas bez zastrzeżeń. Autorka, porywająca kiedyś swą śmiałą aktualnością, dziś jeszcze gra ciepłem i ciężarem gatunkowym rzucanych słów. Może sprawia to pasja w piętnowaniu pustych zasad i kukiełek społecznych, które w innej szacie i w zmienionym charakterze, trwają do dziś. Tak, czy owak; sztuka, przedawniona w swojej zasadniczej tendencji, o problemie, dawno już rozwiązanym, dzięki wielkiemu talentowi i sile przekonań swojej autorki zachowała żywość i zdolność wprowadzenia widza we własny świat. Równocześnie ma wartość dokumentu epoki; stanowi wspaniały, wierny obraz secesyjnego Lwowa.

Jadwiga Andrzejewska odcina się od reszty zespołu szczerością i bezpośredniością artystycznego wyrazu. Widać u niej duży postęp od roli „Dziewcząt w mundurkach", powtórzonej w „Maturze". Zmiana charakteru roli wyszła jej na dobre, strzegąc przed zmanierowaniem. Ale nie mniej przydałoby się jej pewne zmodyfikowanie szczerości na rzecz artyzmu, przez co podniosłaby się klasa jej gry, wobec niewątpliwego talentu.

Przydałby się też wypoczynek Perzanowskiej, która zaczyna powtarzać środki reżyserskie (bieganina po dzwonku u drzwi wejściowych) i słabiej już podkreśla charakter sztuki.

Obok „Panny Maliczewskiej" i „Gałązki rozmarynu" staje sztuka Morozowicz Szczepkowskiej bez możliwości porównania.

Wszystkie narody europejskie, godne imienia Europy, przeżywały okresy, w których ktoś, kto nie powinien był nimi rządzić, dążył jednak do rządów. Wszelako niezawodny instynkt nakazywał im skupić natychmiast siły i przepędzić tę bezprawną pretensję do władzy. Rugowały one przejściowy wybryk i przywracały do władzy moralność publiczną. Lecz Hiszpan czynił wręcz przeciwnie: zamiast przeciwstawić się władzy, której nienawidził w duszy, wolał on fałszować całą resztę swej istoty, aby przystosować ją do tego początkowego szalbierstwa.

Tak czynił Hiszpan przez wieki. I za to dzisiaj płaci tragedią wojny domowej.

Bez linii, bez pretensji do oryginalności i poziomu — rozwija się utwór — scena za sceną, dając luźne fragmenty i płytkie przeżycia. Ukazany i skrytykowany świat nie przekonywa o słuszności stanowiska autorki, a przede wszystkim o konieczności istnienia sztuki jako pozycji teatralnej. Świadczy jedynie o trwałości spostrzeżenia, że życie współczesne ciągle czeka na wyraz sceniczny, że na razie nie wypowiada się wcale.

Słabą pozycją repertuarową stanowi „Maria Stuart" teatrze Malickiej. Nie zgadzam się z twierdzeniem Parandowskiego, że zasługa wznowienia Słowackiego pokrywa braki inscenizacji. Arcydziełom klasycznym nie udziela się łaskawego miejsca; trzeba mieć dość sił, aby się czuć godnym ich realizacji. Z siłami tymi powinien się by przede wszystkim liczyć teatr Malickiej, który dość długi okres swego istnienia znaczy drugą zaledwie pozycją polską, a znaczy ją w sposób — jak to określono — prowincjonalny. Długi okres zapowiadania i realizowania sztuki, przy takich wynikach, podkreśla to tylko nonszalancję, z jaką w tym teatrze jest traktowany polski repertuar.

Na ogół więc konstatujemy zdecydowaną przewagę polskich sztuk. Wyjątek stanowią: teatr Narodowy, wystawiając Chestertona i Kameralny ze sztuką francuską. Utwory te same przez się nie przedstawiają większej wartości; są jednak godne poznanie ze względu na osiągnięcia reżyserskie Radulskiego i Adwentowicza i ze względu na wspaniałe dekoracje Pronaszki, decydujące o stylu i klasie inscenizacji „Człowieka, który był Czwartkiem".

MARCELINA GRABOWSKA.

Trójkąt zamiast osi

Przystąpienie Włoch do tak zwanego paktu antykomunistycznego prasa światowa przyjęła bynajmniej nie tak entuzjastycznie, jak nasi staro-, młodo- i neoendecy. Bardziej doświadczone wygi francuskie czy angielskie przywykły patrzeć nie tylko na mniej lub bardziej mile brzmiące słowa, ale — i to przede wszystkim — na treść, która kryje się za tymi słowami i wcale nie wstydzą się wypowiadać głośno swych wątpliwości.

Co to jest bolszewik? — pyta np. taki londyński „Economist" — to jest decydujące pytanie. A wiadomo, już, że w oczach niemieckich, japońskich i włoskich jest to jakieś podobne do bakcyla stworzenie, które można wyśledzić ukryte pod każdym niemal przebraniem. Chwilami niewątpliwie przyjmuje ono kształt Stalina; a jego drugą postacią jest Negrin. A w chwili obecnej wciela się ono znowu w osobę Czang-Kai-Szeka. To przecież tylko dla spełnienia swej roli w antykomunistycznej wyprawie krzyżowej trzech mocarstw Japończycy zdecydowali się do dalszego ataku na Chiny, dopóki rząd nankiński nie będzie obalony.

Pismo kpi z tej „antykomunistycznej" obłudy: „Jak nadzwyczajnie przenikliwymi okazali się japońscy tropiciele wiedźm! Oto Czang-Kai-Szek, Kuomintang, który reprezentuje, zdemaskowani jako kryptobolszewicy i skazani na wytępienie przez japoński miecz, chociaż w ciągu ostatnich 10-u lat na pozór Kuomintang poświęcał przeważną część swej energii na zgniecenie zbrojną siłą komunizmu chińskiego. Sprytne draby! Ale rysie oczy Japończyków przejrzały podstęp".

Eksperyment chiński może się jednak powtórzyć. Rzecz w tym, że blok totalistyczny wpadł na nowy pomysł: „istnieje coś takiego jak bolszewizm mimo woli i bez świadomości własnej istoty. Hitler znalazł już formułę na to. Kraje demokratyczne, ogłosił nam niedawno, to tereny hodowli komunistycznego bakcyla. Gdzie dziś widzicie ropiejący rozkład demokracji, jutro napewno wybuchnie komunistyczna zaraza".

To też Pertinax, prawicowiec francuski uważa w artykule „Europe Nouvelle", że kraje demokratyczne są zagrożone. „Niemcy i Włochy — pisze — zadecydowały, że reżym uważany przez nie za komunistyczny lub komunizujący stanowi niebezpieczeństwo dla ich interesów narodowych". Ale — czy chodzi tu o komunizm? Czy p. Gayda, głośnik szefa rządu włoskiego, nie groził dnia 8 listopada, o godzinie 7 min. 30 wieczorem przez radio włoskie, zbrojnymi represjami Francuzom Frontu Ludowego?

Kto będzie określał zarazę? „Nasi krzyżowcy — stwierdza „Economist" — ukonstytuowali się jako kolegium lekarskie dla zagrożonego zarazą świata". Wiąże się to z poważnymi komplikacjami. „Zapobieganie jest lepsze od leczenia. Lepiej zburzyć dziś jaskinie zarazy, niż jutro leczyć chorych i grzebać nieboszczyków... gdy zaraza dziesiątkuje trzodę, jaki lekarz ulegnie fałszywemu sentymentalizmowi i zawaha się zarżnąć zarażone zwierzęta niosące chorobę innym?". „Trójkąt" zapowiada więc interwencję w sprawy wewnętrzne innych państw.

Na to niebezpieczeństwo zwraca również uwagę Pertinax. „Traktat z 6 listopada — pisze — przewiduje, jeśli słowa w ogóle mają jakiś sens, że państwa oporne wobec nowego sojuszu mogą być wezwane „w duchu porozumienia" do zarządzeń bezpieczeństwa społecznego". Rzecz jasna, że na tych zarządzeniach muszą odpowiednio skorzystać państwa „trójkątowe". Ilustruje to na przykładzie Chin „Economist". Jak wiadomo, Japończycy żądają od Chin m. in. przystąpienia do paktu antybolszewickiego. „Jeśli Chiny odmówią, piętnują się same jako bolszewickie. Jeśli zgodzą się — to muszą się oddać w leczenie naszym doktorom, a zanim uda się Chinom wykonać wszystkie polecenia lekarskie dla osiągnięcia gruntownej dezynfekcji, pozostaną co najmniej bez ubrania, a być może, że i bez skóry.

W Europie — zdaniem „Economist"— przede wszystkim zagrożona jest Czechosłowacja. Od niej pierwszej blok zażąda „dowodu antykomunistycznych przekonań, t. j. zerwania paktów z czerwoną Rosją i różową Francją. Następna z kolei — to Polska.

„Polacy nie chcą się łączyć z Niemcami przeciw Rosji, tak jak nie chcą łączyć sie z Rosją przeciw Niemcom; ale jeżeli teraz spróbują się upierać przy polityce neutralności, narażą się na złą opinię. Neutralność w walce między lekarzem a chorobą! Taka neutralność to stanowisko antysocjalne, stanowisko nie do darowania. Pozostańcie neutralnymi, Polacy, na wasze ryzyko. Jak widzimy „Economist" przewidział głośne „Albo — albo" „Völkischer Beobachter".

W sumie: niewesołe perspektywy. „Pakt antykomunistyczny jest przede wszystkim narzędziem pracy pangermanizmu hitlerowskiego w jego ekspansji na terenie Europy Środkowej" — stwierdza Pertinax. A „Economist" uogólnia swe rozważania w zwartej formule:

„Doktryna niepodzielności pokoju, przy której nie mieli odwagi upierać się jej obrońcy, została oficjalnie zastąpiona doktryną niepodzielności agresji, pod której znakiem myślą ekumeniczni gangsterzy podbić świat"

×

Analfabetom z prasy endeko-idalnej do wiadomości: „Economist", pismo wychodzące już od 129 lat, nie ma nic wspólnego ani z komunizmem, ani z socjalizmem, ani z żadną inną „żydo-komuną". Jest czołowym organem starego, solidnego angielskiego liberalizmu. A Pertinax to jeden z czołowych publicystów nacjonalistycznej prawicy francuskiej.

Wydarzenia i dokumenty

DOLARY Z POSIEWU KRWI.

Na święcie dożynek na Bückebergu Niemcy hitlerowskie zaprodukowały widowisko, nie widziane chyba dotąd nigdzie na żadnym święcie dożynek. Oto setkom tysięcy spędzonym na święto chłopów zademonstrowano skoszenie — całej wsi, wraz z domami, stodołami i wszystkim innym przez ciężkie tanki Reichswehry.

Nie wiemy, ilu było prawdziwych, przekonanych hitlerowców wśród chłopskich widzów tego oryginalnego — jak na dożynki — spektaklu. Ale wiemy, że nawet najbardziej sfanatyzowanym spośród nich musiały zimne dreszcze przebiec po skórze na ten widok. Nie mogły znaleść się dziesiątki i setki tysięcy chłopów, którzyby z radością patrzyli, jak olbrzymie, stalowe gąsienice druzgoczą wiejskie chaty, takie same, jak te w których oni sami mieszkają.

Ale byli napewno tacy, którym po plecach przebiegał dreszcz nie trwogi, a błogiego zadowolenia. Przebiegał zresztą nie tyle po plecach, co po kieszeni. To byli ci, którzy dostarczyli tych tanków i obliczali, ile na nich zarobili.

Bo trzeba to powtarzać ciągle i głośno: w niesłychanym napięciu stosunków międzynarodowych, w chmurze wojennej, która wisi nad całym światem olbrzymią rolę odgrywają wielkie międzynarodowe koncerny zbrojeniowe, pracujące za kulisami.

Swego czasu część tych kulisów została już odsłonięta. Świat wie ile milionów kosztował „krwawą międzynarodówkę" sabotaż wszelkich prób rozbrojenia. Wiemy, że angielskie firmy zbrojeniowe żądały od niemieckiego Kruppa opłaty umówionego udziału od tych pocisków, które w czasie czterech lat wojny światowej mordowały angielskich żołnierzy. I dziś panowie z przemysłu zbrojeniowego zbierają hojne żniwo.

Amerykański trust „United Steel" (z grupy p. Morgana) ogłosił niedawno swe zamknięcie rachunkowe za pierwsze trzy kwartały b. r. Pouczająca lektura! Zestawmy je z wynikami dla lat poprzednich:

1933 (cały rok)	strata	36,5	mil. dolarów
1934 „ „	strata	21.7	„ „
1935 „ „	zysk	1.1	„ „
1936 „ „	zysk	50,5	„ „
1937 (9 mies.)	zysk	95.3	„ „

Czy widzicie, jak rosną zyski (przepraszam, część zysków) mister Morgana w miarę jak zbliżamy się do roku bieżącego? Jak trupy abisyńskie, hiszpańskie i chińskie zamieniają się w brzęczące złoto? Jak każdy krok na drodze ku nowej rzezi znaczy się w bilansach nowymi milionami nowych dolarów?

PODZIEMNE ARSENAŁY.

W tym samym czasie, gdy opętana faszyzmem młódź endecka wystąpiła u nas z jawną propagandą „wstrząsów" i „przewrotów", nożami i kulami rewolwerowymi grożąc tym, którym się przyszłość taka nie podoba, we Francji wykryto rozległy spisek podziemny, oddawna knuty przez faszystów a skierowany przeciw republice i demokracji.

Spiskowcy francuscy rekrutowali się z najbogatszych sfer arystokracji i finansjery. Podstawą zaś ich zbrojnego działania miały być faszystowskie organizacje „Krzyżów ognistych", formalnie rozwiązane do roku ub. przez rząd ludowy.

O potężnych środkach pieniężnych, jakimi spisek rozporządzał, świadczy kolosalna ilość znalezionej w różnych kryjówkach broni oraz amunicji. Arsenały spiskowców wręcz zdumiewają bogactwem i różnorodnością sprzętu wojennego, który, jak się okazało pochodzi przeważnie z zagranicy. Oprócz karabinów ręcznych i maszynowych, rewolwerów, bomb i granatów w kryjówkach spisku natknięto się na bardzo osobliwe urządzenia w postaci głębokich lochów, których ściany zaopatrzone były w łańcuchy, oczekujące najwidoczniej na ofiary zamierzonego przewrotu: tymi łańcuchami chciano skuć i obezwładnić wolność ludu francuskiego.

Wiele mówiącym a złowrogim szczegółem organizacji spiskowej są radiostacje nadawcze, ujawnione w bezpośrednim sąsiedztwie portów lotniczych, koszar i fortyfikacyj nadgranicznych. Szczegół ten wskazuje na to, że faszyści dzisiejsi tak samo jak dalecy przodkowie - monarchiści z poza przeszłego stulecia, podnosząc broń przeciw własnej ojczyźnie, liczyli na pomoc zewnętrzną. Nie tylko gwałt i teror, ale wiarołomstwo i zdrada należą do zwykłych środków ich arsenału.

Republika Francuska była zawsze najwierniejszą przyjaciółką demokracji polskiej. Nie trudno wyobrazić sobie, jak wielkim dla Państwa naszego niebezpieczeństwem byłby cios, przez rebelię faszystowską zadany jednocześnie i republice i demokracji narodu francuskiego.

PRAWDZIWI PODPALACZE.

Przed kilku miesiącami ukazała się w Rzymie książka, która na łamach prasy angielskiej i francuskiej zyskała sobie miano „najcyniczniejszej spowiedzi faszyzmu". Autorem książki jest marszałek de Bono, pierwszy głównodowodzący wyprawy etiopskiej. Przedmowę napisał sam Mussolini. Treścią zaś książki są dzieje wojny abisyńskiej. Marszałek de Bono otwarcie przyznaje, że na *trzy lata przed wybuchem wojny* Mussolini opracował plan podboju i rozpoczął przygotowania w porozumieniu z kilku tylko najbliższymi sobie ludźmi, z których jednym był autor książki, de Bono. Dalej przyznaje de Bono, że sławne starcie pod Ual-Ual, inaugurujące działania wojenne, było jedynie pretekstem, wyolbrzymionym przez propagandę włoską do rozmiarów incydentu, który zmusił Italię do wojny w obronie swego honoru. De Bono pisze, że Ual-Ual w równej mierze było pretekstem, jak ów zagrożony honor Włoch. Więc otwarcie i szczerze: wojna na czarnym lądzie była podbojem, podbojem z premedytacją, uplanowanym w tojemnicy przed światem na trzy lata przed wybuchem wojny.

Do tej „cynicznej spowiedzi" faszyzmu przez usta marszałka de Bono niespodzianie przybywa obecnie dokument analogicznej niemal treści, lecz odnoszący się do wojny hiszpańskiej. Jest to dokument o zdumiewającej treści.

Oto w archiwach prawicowej partii *„Renowacion Espanola"* znaleziono w tych dniach kopie „protokółu nr. 1" pewnego posiedzenia, które odbyło się 31 marca 1934 roku w Rzymie. Protokół brzmi:

— „Niżej podpisani, generał Emilio Barrera we własnej osobie, don Rafael Lizarra, przedstawiciel „Comunion Tradicionaista" i don Antonio Goicoechea, przywódca stronnictwa „Renovacion Espanola" — spisali niniejszy protokół z odbytej dziś, 31 marca 1934 roku, o godzinie czwartej popołudniu — rozmowie z szefem rządu Italii, panem Mussolinim, któremu towarzyszył marszałek Balbo.

„Szef rządu Italii zadawał każdemu z nas pytania o obecnej sytuacji w Hiszpanii, o aspiracjach armii i marynarki oraz celach partyj monarchistycznych. Po tym udzielił nam wyjaśnień następujących:

1. że gotów jest wszelkimi środkami pomóc stronnictwom opozycyjnym w ich walce p r z e c i w p a n u j ą c e m u r e ż y m o w i, by można było zniweczyć republikę i na jej miejsce powołać regencję, która przygotuje powrót monarchii. Zapewnienie to zostało przez

Mussoliniego trzykrotnie uroczyście powtórzone, a przez obecnych przyjęte z wyrazami podzięki i uznania;

2. że dla zademonstrowania swej dobrej woli gotów jest dostarczyć natychmiast 20.000 karabinów, 20.000 granatów ręcznych, 200 karabinów maszynowych i 1.500.000 peset;

3. że ta pierwsza pomoc nosi jedynie charakter przygotowawczy i uzupełniona będzie dalszą, znacznie większą pomocą w miarę potrzeby.

Obecni uznali, że dla przejęcia wymienionej sumy powołać należy trzyosobową komisję, w skład której wejdą pan Olazabal oraz przedstawiciele dwu wyżej wymienionych stronnictw. Zadaniem komisji będzie zarządzanie funduszem i przydzielanie sum na określone cele obu stronnictwom.

Tą samą drogą postanowiono przejąć broń, która po dostawieniu do Hiszpanii przydzielona zostanie grupom partyjnym. *Rzym*, 31 marca 1934".

31 marca 1934. Data ta poprzedza o *dwa i pół roku* wybuch rebelii na półwyspie Pirenejskim.

Rewelacyjny dokument dobyty został z archiwów partyjnych prawicy hiszpańskiej na światło dzienne w tym samym mniej więcej czasie, kiedy Mussolini zapewniał świat, a zwłaszcza Anglię, iż nie dopuści, aby nad morzem Śródziemnym rozsiadł się upiór bolszewizmu. Ogłoszony przez rząd hiszpański dokument jest niezbitym dowodem, że ów groźny upiór bolszewizmu jest w rękach Mussoliniego wygodnym tylko pretekstem i straszakiem dyplomatycznym. Zważmy bowiem: na trzy lata bez mała przed wybuchem rebelii, Mussolini rozpoczął podminowywanie demokratycznego ustroju obcego państwa. Jakże bowiem inaczej zrozumieć można fakt, że władca Włoch oficjalnie pertraktował w 1934 roku z prawicą hiszpańską, przyrzekając wszelką pomoc w walce z republiką, powołaną do życia z woli narodu hiszpańskiego?

Propaganda faszyzmu usiłowała i usiłuje wmówić, że powstanie lipcowe 1936 roku wybuchło w imię „obrony cywilizacji" przed „barbarzyństwem bolszewizmu", który z półwyspu Pirenejskiego zagrażać począł całej Europie zachodniej. Ten argument mija się oczywiście z prawdą i kłóci się z faktem, że rząd, przeciwko któremu skierował się pucz rebeliancki, miał charakter umiarkowany, jak najdalszy w swym składzie i poglądach politycznych od skrajniejszej choćby lewicy. Najumiejętniejsze jednak przeinaczanie faktów i najzręczniejsza propaganda nie zdołają w żaden sposób przekonać nikogo, że *wczesną wiosną 1934 roku*, gdy Mussolini podarował przyszłym rebeliantom pierwsze pieniądze i broń, Hiszpania była bolszewicka. Była to wiosna po jesiennych wyborach 1933 roku, które przyniosły walne zwycięstwo prawicy: na 352 przedstawicieli prawicy wybrano tylko 121 deputowanych lewicy, w tym — 58 socjalistów i 1 (jeden) komunista. Ów jeden komunista reprezentował tedy „upiora bolszewickiego"? Na czele rządu stał Lerroux, ongi zdecydowany republikanin, który oddawna jednak zawarł już pokój z prawicą.

Przez dwa lata przed wybuchem rebelii Mussolini z największą gotowością zaopatrywał przyszłych powstańców w broń i pieniądze. Nie przeszkodziło mu to współpracować zarazem z komitetem nieinterwencji i domagać się od rządów Europy, aby odebrały legalnemu rządowi suwerennego legalnego państwa wszelką możność zakupu broni dla zdławienia buntu.

Pod protokółem marcowym widnieje „Rzym". Stolica obcego państwa była miejscem spisku przeciw własnemu krajowi. Ów napis „Rzym" najlepiej utwierdza słuszność, z jakim nadano rebelii miano Targowicy hiszpańskiej. Rebelia generała Franco narodziła się pod obcym niebem.

Czy ktoś najbardziej nawet naiwny może jeszcze uwierzyć w butne i szumne zapewnienia o *„spontanicznym* wybuchu powstania *narodowego"?* W jednym zdaniu dwa kłamstwa: ani spontaniczny, bo przez trzy lata bez mała knuty z premedytacją zamach na prawowity rząd i republikę, ani też — narodowy, bo pod obcym niebem zrodził się pucz, przemiesiony rychło w zbrodniczą imprezę międzynarodowego faszyzmu.

„NIE JESTEŚMY SAMI"

W ubiegłym tygodniu wyższe uczelnie w Krakowie były widownią burzliwych i żywiołowych demonstracji młodzieży socjalistycznej i ludowej. Udział w nich wzięły także rzesze akademików niezorganizowanych, którzy wspólnie z młodzieżą demokratyczną wystąpili energicznie przeciw faszyzowaniu przez endecję życia akademickiego.

„Robotnik" drukuje dosłowny tekst odezwy, wydanej w Krakowie i kolportowanej w Collegium Novum, na Wyższym Studium Handlowym i Studium Rolniczym. Powtarzamy ją za *„Robotnikiem":*

„Koleżanki i Koledzy! Bojówki faszystowskie rozpoczęły swoją zbrodniczą akcję na uniwersytetach. Z dnia na dzień mnożą się wypadki bestialskiego bicia nie tylko studentów Żydów, ale i tych studentów Polaków, którzy dla metod endecko-oenerowskiej walki politycznej odczuwają pogardę i obrzydzenie. Ostatnio na uniwersytecie lwowskim zdarzył się wypadek bestialskiego pobicia akademików ludowców. Ten fakt brutalnego wystąpienia faszystów wobec synów chłopskich na uniwersytecie jest nowym dowodem tego, że dla faszystów walka z Żydami jest jedynie wstępem do generalnego ataku na demokrację polską.

W tej sytuacji zwracamy się przede wszystkim do władz uniwersytetu z żądaniem zapewnienia szerokim masom młodzieży akademickiej normalnej nauki. Stwierdzamy, że systematyczne ustępstwa, czynione przez władze uniwersyteckie młodzieży faszystowskiej, nie doprowadzą do uspokojenia młodzieży, lecz rozzuchwalają jedynie organizatorów burd na uniwersytetach. Mamy pełne prawo zwrócić się pod adresem władz uniwersyteckich z żądaniem:

Chcemy się uczyć!

Do młodzieży faszystowskiej natomiast zwracamy się ze stanowczym ostrzeżeniem, że podjąć należy akcję do zapewnienia spokoju na uniwersytetach.

Akcja ta może się dla band faszystowskich okazać bardzo bolesna. Nie jesteśmy sami. Za nami stoją masy robotnicze i chłopskie, które coraz niecierpliwiej patrzą na to, co się na uniwersytetach dzieje.

Zwracamy się wreszcie do tych szerokich rzesz młodzieży akademickiej, które z obrzydzeniem patrzą na wyczyny młodzieży faszystowskiej. Wiemy, że większość młodzieży akademickiej nie zgadza się z akcją faszystowską na wyższych uczelniach. Przeprowadzony ostatnio plebiscyt na uniwersytecie lwowskim, w którym młodzież faszystowska poniosła sromotną klęskę, jest nowym tego dowodem.

Koleżanki i Koledzy! Bierny protest już dzisiaj nie wystarczy. Przeciwstawiajcie się wszelkimi środkami czynnie wystąpieniom band endeckich! Wstępujcie w szeregi demokratycznych organizacyj młodzieży! Precz z faszyzmem!

Akademicy-Demokraci, Akademicy-Ludowcy, Akademicy-Socjaliści".

APEL DO MATEK POLEK.

Zasłużone na polu pracy obywatelskiej panie: Zofia Dobrzańska, Anna Szelągowska, Maria Śmigielska nadesłały nam imieniem zarządu „Polskiej Ligi Kobiet Pokoju i Wolności" odezwę następującą:

„Wszyscy, którzy życie własne i współżycie z ludźmi chcą oprzeć na określonych i powszechnie uznanych zasadach moralnych, z coraz większym niepokojem patrzą na metody walki o byt pewnej części młodzieży polskiej.

W myśl hasła samoobrony narodowej i pod sztandarem etyki chrześcijańskiej bije się kolegów, którzy się chcą uczyć, napadu w kilkunastu na jednego, nawet na kobiety, stawiając sobie za cel dobro ojczyzny, tworzy się zamęt, powstrzymuje naukę i w okresie powszechnego niebezpieczeństwa zzewnątrz sieje się nienawiść i rozbija jedność wewnętrzną.

Tych, którzy mają odwagę publicznie przeciwstawiać się metodom tak nie-

szlachetnym i przeciwnym pięknej tradycji narodu polskiego ogłasza się za pozbawionych czci i miesza się z błotem — zły przykład wychodzi na ulicę i przenika do szkół średnich, między dzieci.

W imię ideałów pokojowego współżycia narodów, poszanowania wolności i godności ludzkiej, zwracamy się do wszystkich, którzy mają obowiązek czuwać nad wychowaniem młodego pokolenia, a szczególnie do kobiet, jako matek i wychowawczyń, o powstrzymywanie młodzieży od zdziczenia i o wskazywanie jej innych metod zarowno walki ideowej jak też walki konkurencyjnej o przyszłe stanowiska w kraju, metod, któreby nie upadlały i nie obniżały poziomu moralnego, ale wyrabiały charakter, godność obywatelską i prowadziły do polepszenia stosunków między ludźmi i zwycięstwa kultury nad przemocą".

OŚWIADCZENIE STUDENTÓW PEDAGOGIKI

Grupa studentów-Polaków wystosowała następującą petycję do rektora U.J.P., zaopatrzoną w osiemdziesiąt kilka podpisów:

„My niżej podpisani słuchacze Psychologii Wychowawczej i Pedagogiki zwracamy się do Jego Magnificencji o uchylenie zarządzenia w sprawie podziału ławek na uczelniach. Zarządzenie to zostało również uznane za niepożądane przez Radę Wydziału Humanistycznego".

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ja, niżej podpisany, Józef Waśniewski, 68 lat liczący starzec, przyłączam się z całym uznaniem do głosu pani Dunikowskiej i Kościa-Dąbrowskiej, aby potępić niesłychany krok grona akademików lwowskich, podczas pogrzebu żyda Nikodema Polaka. Jako Polak rumienię się, że akademicy polscy mogli i byli zdolni do takiej ohydy. Dosyć już tego! Powinna cała prasa potępić wybryk młodych warchołów, bo do czego dojdziemy? — Nie lubię przejawów chamstwa u nikogo i w żadnej formie, dlatego tym bardziej razi mnie ten przejaw barbarii wśród części akademickiej młodzieży lwowskiej, która według dawnych pojęć powinna być wyrazicielką idealnych dążeń społeczeństwa. Tak przynajmniej dotychczas zapatrywano się na akademików. Niestety! etycznie idziemy na dół. Co prawda, co żądać od zwolenników tej partii, która nie chciała w swoim czasie bojkotować szkoły rosyjskiej, a czołowy przedstawiciel został z tego powodu spoliczkowany. Wszyscy uczciwi ludzie powinni potępić wybryki młodych polskich hitlerowców, którzy kompromitują naród swój na zewnątrz i na wewnątrz.

Pozostaję z szacunkiem
J. Waśniewski
poczta **Bolesław koło Olkusza.**

KSIĄŻKI NADESŁANE

Stefania Sempołowska: Reforma Szkolna 1862 roku. Organizacja szkolnictwa Elementarnego. Wydanie II. Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Antoni Leon Kornik: b. kapral Legionów Polskich. Mój batalion... My, byli legioniści. Kraków 1937.

Jan Brzechwa: Tańcowała igła z nitką. Rysunki Franciszki Themerson. Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Mieczysław Sterling: Rzeźba włoska. Średniowiecze — Odrodzenie. 103 reprodukcje. Warszawa — Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Józef Piłsudski: Pisma Zbiorowe. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Tom VIII. Wstępem i przypisami zaopatrzył Kazimierz Świtalski. Okładkę propektował Tadeusz Gronowski. Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego.

Kazimierz Lukrec: Handel ziemniakami (340 milionów kwintali). Warszawa 1937. Nakładem Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-gospodarczych Rzeczypospolitej Polskiej.

Dr Feliks Burdecki: Opanowanie Materii czyli książka o zdobyczach polskiej nauki w dziedzinie chemii i fizyki, astronomii i geofizyki, o polskch wynalazkach i inżynierach oraz o polskich pionierach lotnictwa. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

OD WYDAWNICTWA

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał bieżący, prosimy o uregulowanie należności.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4372 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3